



ZYGMUNT KAWECKI

SZKOŁA

SZTUKA W 4. AKTACH



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

BRODY □ NAKŁADEM KSIĘGARNI FELIKSA WESTA □ 1908
WARSZAWA: E. WENDE I SP.



DLA SCEN RĘKOPIS.

Prawo tłumaczenia i wystawienia zastrzeżone autorowi.

1402

<http://rcin.org.pl>

OSOBY:

Sulicki, dyrektor zakładu

Sobotniewicz

Zalski

Sojka

Mularczyk

Wypniaczek

Milus

Sarenka

Herkules

Roztruchański

Bej

Harmata, terycyan

Ślisz, pomocnik terycyana

nauczyciele

Orzelski

Hopfen

Poziomka

Szampalski

Duđrak

Błas

Sołtys

Stalowy

Kirkor

Korzacki

Soliter

Buła

uczniowie

Pani Orzelska
Panna Ida Orzelska
Pani Wesołowska
Panna Mađzia
Aneczka
Sąsiad

Siostra cioteczna
Michałek
Hic mulier
Pracznka
Fertyczna pani

Uczniowie — nauczyciele.

Dzieje się współcześnie.



Akt I.

NA STANCYI.

SCENA I.

Pokój średniej wielkości o dwu oknach w głębi i dwu wejściach, jedno z prawej, drugie z lewej. Trzy żelazne łóżka, jedno między oknami — dwa pozostałe wzdłuż bocznych ścian — opodal łóżek kufry i półki z książkami. Obok jednego łóżka, z lewej, krzesło zamiast szafki nocnej, na niem kilka książek, na wierzchu świeca w kałamarzu. — pod łóżkami ogarki z papierosów, buty, kalosze. Żelazna umywalnia, gliniany garnek na wodę, poplanione ręczniki. Pośrodku pokoju wielki stół — krzesła. Obok budki suflera, po prawej stara ceratowa kanapa, z pod której wylażą spreżyny. Ściany popisane datami historycznymi i formułami algebraicznymi — bądź obwieszane karykaturami prymitywnej roboty. Firanki buraczkowego koloru pozaginane niewprawną ręką i upięte wysoko koło karniszy, aby nie wadziły światłu. Na jednym z okien papierzane, nalepione serce, przebite strzałą. Jedno lustro ściennie w popstrzonych ramach. Pokój o porze wieczornej oświetla niewielka lampa wisząca, upiękniona abazurem ze starej gazety, nieco przypalonym. W kącie pokoju od widowni zaraz, stoi oparty o kulisę rower.

SĄSIAD PRZECHODNI — PANI WESOŁOWSKA
ANECZKA — PANNA MADZIA.

(Po małej pauzie w chodzą z lewej pani Wesołowska i Sąsiad przechodni).

Pani Wesołowska. (w brudnym, stłuszczonym szlafroku — kobieta rumiana, pyzata w obejściu obcesowa). Z pewnością, że to nie bardzo wygodne nie mieć osobnego wejścia, ale to się na drugi miesiąc da zrobić...

Sąsiad. (mężczyzna czterdziestoletni, stary wyga). Aha! o tym drugim miesiącu to ja już słyszę od kwartału i jakoś nie!

Pani Wesołowska. Będzie! słowo uczciwe, będzie! (z przymileniem). A pan może sobie tymczasem, skoro pana żenuje paradować tędy, między studentami, całkiem śmiało.. przez mój pokój... no!.

Sąsiad. Też coś! Ja wracam rozmaicie, i nie mogę się kępować i niechęć pani budzić...

Pani Wesołowska. Ale, ale! czy w dzień, czy w nocy może pan tamtędy, jak przez przedpokój..

Sąsiad. Dziękuję za tę konfidencją — ale jeżeli mnie pani nie przeniesie do tego pokoju, albo się nie przeprowadzi -- to ja zbieram manatki i już mnie niema.

Pani Wesołowska. A to z Pana gorączka! (z kokieteryą niezgrabną). Przecież... jak ja Panu pozwalam przez swój pokój..

Sąsiad. Też coś! Dziękuję. Niech pani pamięta, com powiedział (zabiera się do odejścia na prawo).

Pani Wesołowska. Le! le le!. Panie lokatorze!.

Sąsiad. Co tam?

Pani Wesołowska. Ma pan papierosa?

Sąsiad. (kiwa energicznie głową, że niema). (odcho-

dzi znowu).

Pani Wesołowska. (chwyta go za ramię, prowadzi do krzesła i sadza). Czekażcie — pan. Pogadamy o tem i zrobi się wedle pańskiego życzenia. Zazaz, zaraz tylko sobie zakurzę. (Szuka w szafce, w szufladzie). Poziomka to lubi czasem zostawić. — (wyjmuje zmiętą paczkę, kręci papierosa, zalepia i zapala).

Sąsiad. (usiadł i poświstuje). Jeszcze panią kiedy wyłapią.

Pani Wesołowska. Mam ja, mają moi studenci — mają oni, mam ja.

Sąsiad. Tylko... kto ma częściej, a kto niema?

Pani Wesołowska. Ale le! Proszę pana, na biedną wdowę — i to sztuka, że sobie radzę, Po mężu pensyi nie dostałam.

Sąsiad, Słyszałem sto razy...

Aneczka. (wchodzi, zrazu chce się cofnąć, ale udaje że miała tu coś do roboty). Zdałoby się, proszę pani, zrobić trochę porządku... (rozgląda się po pokoju).

Pani Wesołowska. (z naciskiem) Hm! hm! już ja wiem po jaki porządek ty tu przyszła.

Aneczka. Oho! pani już swoje.

Pani Wesołowska. Idź do kuchni i przynieś elementarz.

Aneczka. Dobrze! (wychodzi).

Pani Wesołowska. Już patrzyła, czy tu Blasa nie ma.

Sąsiad. To ten blondynek .

Pani Wesołowska. Aha, ten niemrawy.

Sąsiad. No, no! Z której klasy?

Pani Wesołowska. Abo ja tam wiem.

Sąsiad. To szkoda, że się pani tem nie interesuje.

Pani Wesołowska, Akuratnie mnie to najbardziej obchodzi

Sąsiad. Przecież pani z nich żyje.

Pani Wesołowska. (po pauzie, wybuchając śmiechem).
Żyje! żyje! Wie pan, tyle co ja mam z nich, z tych biedoklepów, to tak właśnie, jakby się krokodyl na ten przykład mógł najeść muchami.

Sąsiad. Trzeba było wziąć bogatych.

Pani Wesołowska. Na masz! Tych profesory powyla-
łapywali

Sąsiad. Ale za to u pani to im lepiej, jak u profesora. Mają swobodę, że aż hej!

Pani Wesołowska. Co to za swoboda, jak w żołądku mruczy. Oni tu choć sobie czasem pokrzyczą i pospiewają...

Sąsiad. (przerywając)... Ryczą jak zarzynane bawoły.

Pani Wesołowska. Pana i tak rzadko można w domu zastać! ☹️ panu to szkodzi?

Sąsiad. Kto wie. Może właśnie szkodzi. Nieraz by się chciało być swobodniejszym, a tu panie, zebrania krzyki...

Pani Wesołowska. No, no! To dobre studenty. Poproszę ich i wezmą na milczenie. Aj, dobre chłopcy. Ten Blas to i po podpałką pójdzie — a Poziomka!. Poziomka na mące się rozumie i na kaszy... A wszystkie sobie buty czyszczą, wodę z miednicy zmieniają... ot, i kram stoi... Tylko, że posiałość, biedne to wszyszko jak pchła na suchotniku!..

Aneczka. (przynosi książeczkę z ołówkiem na sznurku) Jest, proszę Pani.

Pani Wesołowska. Dawaj. (pisze szybko i oddaje jej).

(W międzyczasie Sąsiad grozi Aneczce palcem

i uśmiecha się — ona odwraca się).

Pani Wesołowska. (do Aneczki). Wal! (ciszej). Powiedz grajzlernikowi, że 15-go dam większe à konto.

Aneczka. (chrząka). Niech będzie. (wyszła).

Sąsiad, (wyjął ukradkiem papierosa z pełnej papierośnicy i zapalił). No ale co będzie z tym wejściem, niech słyszę. Te smarkacze mnie krępują.

Pani Wesołowska. Co będzie? Znajdzie się. Ot jak naprzykład nie było papierosa i znalazł się.

Sąsiad. Nawet niewiedziałem że miałem jeszcze jednego

Pani Wesołowska. (pod nosem). Udław się.

Panna Madzia (wchodzi niby szukając czego, trochę zazenowana). Właśnie... właśnie.. mi brakło... brakło... atramentu.

Pani Wesołowska. Aj! atramentu!.. proszę! Bieda na atrament. Jest w kuchni, na oknie.

Panna Madzia. To dobrze. (wychodzi)

Pani Wesołowska. Atramentowych wąsików brakło...

Aha! pewnie to ma przyjść Orzelski

Sąsiad. Co to za jeden?

Pani Wesołowska. Przychodzi do moich, kolega.

Sąsiad. A, wiem, wiem. Prowodyr. Zresztą to proszę pani, ja się nie dziwię, że tak się do pani złążą. Gdzie miód, tam pszczoły ciągną O! panna Madzia! O! Aneczka! Ja pani mówię, że tu się niezadługo całe gimnazyum sprowadzi -- a ja będę musiał wynieść się.

Pani Wesołowska. Ale, le! Co pan bredzi! Madzia to taka osoba, co ani spojrzeć na siebie nieda -- a pan może być pewny, że tu będzie cicho. Ja im to dziś przykażę, ostro, ostro! a z respektem Aneczka, (wchodzi z flaszeczką i kieliszkiem).

Pani Wesołowska. Jesteś!

Aneczka. Grajzlernik powiedział, że w elementarzu za dużo nabasowane. Jutro nic nieda.

Pani Wesołowska. Zobaczymy. Już ja się z nim sama rozmówię. (do Aneczki). Czego stoisz! wynoś się!

Aneczka. (półgłosem). Wiem bez tego. (wychodzi).

Pani Wesołowska. (nalewając). Czysta. Panie lokatorze, na nasze! Nie dawno pan u mnie nastał, ale mnie się widzi, że między nami będzie zgoda!

Sąsiad. Tylko osobny pokój i osobne wejście — proszę pani, mężczyzna musi być swobodny!

Pani Wesołowska. To też właśnie ja do tego ściągam. Z tem, proszę ja pana, z tem osobnem wejściem... to będzie dziś ambaras. Przez mój pokój i basta... Heim!.. (pije).

Sąsiad (przypatrzwszy się, jak ona wypita, obraca się na pięcie i dzie do siebie). (Półgłosem), Stary pomidor. (wyszedł).

Pani Wesołowska. (obciera rękę usta, wylewa resztą z kieliszka). Aha! Pomidor!. Czekaj, dam ci osobne wejście na pomidorowym sosie! (zamierza nalać sobie drugi kieliszek, gdy słyszy kroki od strony lewego wejścia). (Chowa likwor z kieliszkiem pod fartuszek).

SCENA II.

PANI WESOŁOWSKA — POZIOMKA — BLAS.

(wchodzą razem: Poziomka i Blas, uczniowie, w ubraniach mundurkowych uczniów szkół średnich).

Poziomka. (Twarz niespokojna, ruchliwa — na nosie grube okulary — wąsik rudy, zaniedbany. (Mówi szybko, pauzując i poprawiając szkieł). Dobry wieczór, (rzuca na stół zwitek papierów). Dobrze

że ja panią widzę. Chciałem z panią pomówić o czymś dziś zaraz po „obiedzie“, ale musiałem lecieć na zgromadzenie...

Błas. (słuszny blondyn, o dużych, inteligentnych oczach — twarz idealisty, błady i anemiczny, mówi mało i z pewną melancholią, flegmatycznie i zawsze łagodnie).., (chrząka, jakby chciał dać znak Poziomce, by dyskursu nie kończył, poczem zagaduje:) Dobry wieczór pani... czy nie było tu jeszcze Michałka na lekcję?

Poziomka. (porywcz). (chwytnąjąc go za ramię i odprowadzając na o bok) Nie chrząkaj. nie zagaduj, nie kłam. Wiesz dobrze, że Michaś przychodzi za godzinę.

Pani Wesołowska No, no, no! O co znowu?

Poziomka. Dostaliśmy dzisiaj na obiad śmierdzące mięso...

Błas. (chrząknąwszy). Ziomka.. czy tyś wziął moje logarytmy?

Poziomka. Dajże pokój cierpiętniku jakiś (do p. W.). Jemu może pani dać bigos z Konfutsego i Trimurti — on wyrzuci i uda że zjadł.

Pani Wesołowska. Ja Poziomkę bardzo przepraszam, ale samam wahała...

Poziomka. Wystarczy, skoro pani przecież przyszło na myśl powąchać? A papąła pani, hę?

Pani Wesołowska. Ale, le-le!..

Poziomka. Żadne „le-le“ — tylko nie trzeba trzymać mięsa w kufrze! To żadne „lele“ -- bo już mamy tego za wiele!..

Błas. Ziomka — do wiersza ci się udało — wid ć żeś się udobruchał.

Poziomka. (z rozpaczliwą pasją). Blasiunciu daj pokój

Daj po — kój Kochane Błasiątko!

Pani Wesołowska. (w stronę Błasa). To unikat, nie człowiek!

Poziomka. Już nie nie gadam o tej tabace, którą rano dostajemy jako kawę — ani o tak zwanej „zimnej kolacyi“! Raz na dzień chociaż niech nam pani da prawdziwe jedzenie — przynajmniej raz na dzień.

Pani Wesołowska. Oj, joj, joj! (skrobiąc się w głowę). Ale się Poziomka dziś rozfukał. Czy Poziomka nie zrył dzisiaj z czego, że taki zły?

Poziomka. Masz! O mięsie gadamy właśnie, o mięsie, nie o szkole. Kto widział trzymać je w kufszę — a co tam jeszcze jest w tym arsenale, czy nie bielizna przypadkiem?

Pani Wesołowska. Wolne żarty.. zamknęłam tam, bo mi zeszłego tygodnia ze szafki ktoś buchnął kilo legawki i kości na rosół..

Bł. (do Poziomki). No widzisz.

Poziomka. (do pani Wesołowskiej). A teraz przepraszam, bo mam coś do roboty. (rozwija papiery).

Pani Wesołowska. To dobrze Bo mi się zdaje, że Poziomka coś nie tęgo ... z fizyką. Matka przyjedzie... i do pani Wesołowskiej!.

Poziomka. Ale z pani byłby doskonały fizyk.. do konserwowania mięsa!.

Pani Wesołowska No, no, le, le! Jutro dam gulasz ef ef!

Poziomka. Tylko nie z kufra.

Pani Wesołowska. (wychodząc). A nie palcie bez potrzeby zadużo nafty. Z nowu podskoczyła o cztery grosze na litrze! (wyszła). (chwilka pauzy — podczas tego Poziomka szpera w papierach). (Bł.

szuka książek na pułce).

Poziomka. Tyle ci mam chłopie kłopotu z tym statutem.

Błas. Co na jutro z łaciny?

Poziomka. Zdaje mi się „Ad Lalagen“.

Błas. A z matematyki?

Poziomka. (szperając). Nie wiem. Jakto, nie byłeś w klasie?

Błas. Proszę ciebie, jakeście tylko wyszli, czekałem w szkarpetkach na buty. Myślę, koło ósmej przyniesie. Ale nie przyniósł. Tak mi było nieswojo... patrzę.. Dudraka buty stoją pod łóżkiem. Ale jakżeż mogłem wziąć bez jego pozwolenia... Trochę się pomartwiłem i zostałem w domu..

Poziomka. (szperając w papierach). Hm, hm... Ja tu pani dynstuję mózg nad naszym statutem — a on o skarpetkach... Słuchaj: „Majątek stowarzyszenia... jaki może być nasz majątek?”

Błas. Młodość.

Poziomka. (przyskakując do niego). (łapie go za nogę, tak że Błas przewraca się na łóżko, koło którego stał). Sciskam cię za boskie golenie! Masz racyę! (przepominając sobie naraz). Ale prawda. Tyś nie był dziś w klasie. Nic nie wiesz?

Błas. Pewnie, że nie wiem.

Poziomka. Słuchaj — Orzelski i (naśladując fistułkę profesera) „Kochanku“, nasypali sobie soli atyckiej na tiurniurę. „Kochanku“ nie lubi go, zaszko dzi mu. Będziesz widział,

Błas. Od dawna to widzę! I com się naprosił Orzelskiego: „zamilcz, nie gadaj nic“. A on zawsze, choć grzecznie, a odpowiedzieć musi.

Poziowka. On też i dzisiaj strasznie glansownie go zgasił. Myślałem że Sobotniewicza jajecznicą zaleje!

SCENA III.

POZIOMKA — BLAS — STALOWY

Stalowy. (chłopiec o komicznej twarzy — arcyńędźnie przyodziały: bluzka gdzieniegdzie podarta, spodnie z kogoś starszego i grubszego, niemundurowe, olbrzymie trzewiki z olbrzymimi dziurami — przez ramię przewieszzone palto jasnego koloru). (Wchodzi). Serwus panowie! (Przynosi ze sobą książki).

Poziomka i Blas. Serwus Diogenes!

Stalowy. Szlachetni mężowie ateńscy!.. (rzucił palto i czapkę w kąt na podłogę). Co wam wypadło z ostatniego równania na jutro? Mnie... (namyśla się): $x = 3$, $y = \sqrt[2]{5}$, a $z = ..$

Poziomka. (do Stalowego). Ty słuchaj... dasz mi jutro na godzinie odpisać... odwałę na historyi...

Blas. Ja ci wydrukuję dzisiaj, dobrze?

Poziomka. Bodajesz żył i rozmnażał się w setne lata.

Blas. (śmieje się malancholijnie). Po co zaraz „rozmnażał się“?...

Stalowy. Nawet się nie zarumienił! A to ci cynik! (do Poziomki). Masz knota?

Poziomka. Wstydziłem się wstąpić do trafiki...

Stalowy. Oho!

Poziomka. ...bom nie miał pieniędzy. (Śmieją się na cały głos).

Stalowy. Piget me. Choć to konstrukcja nieosobowa — ale boleję nad tem osobiście. (mówiąc to, wywraca kieszenie bluzki i strzepuje proch tytoniowy na stół). Bibułka jest?

Blas. (dobywając pieniądze). Masz, idź kup Ale lepiej-
byś zrobił, nie paląc wcale. Źle się odżywasz,
zdrowia nie masz ..

Stalowy. (nie chce przyjąć pieniędzy — zamyśla
się).

Poziomka. Czekaście! zdaje mi się, że mam! (idzie
do szafki). Jest! (kręca i palą z wyjątkiem Blasa).
Ale wiecie co? Zapomnieliśmy na śmierć, że dziś ze-
branie „Czarnej róży“.

Stalowy. Prawda! Ale czemu jeszcze niema nikogo?

SCENA IV.

POZIOMKA — BLAS — STALOWY

ORZELSKI — SOŁTYS

(Wchodzą: Orzelski i Sołtys). (Przynoszą ze so-
bą książki).

Orzelski (wchodząc). Pokłon wam, koledzy! (Chłó-
piec starannie opięty i ubrany — brunet o zwich-
rzonej czuprynie i małym wąsie).

Sołtys. (26 letni młodzian o poważnym wyrazie twa-
rzy) Pokłon czarnej róży!

Orzelski. Ej że! ej że! A ruszcie się — izba brudna
i zasmolona — Uczynicie tu dostojność jaką.. trzeba
aby było czysto, aby było pięknie. Zróbmy święto.

Stalowy. Mężowie ateńscy. Niech się stanie, jako rzekł
arbiter elegantiarum. Do dzieła! (tupiąc przyciężkim-
butami, rusza się po pokoju, usuwając nogami ogar-
ki papierosów pod łóżko, poprawiając łózek, półek
itd.)

Poziomka. Ja się ogolę! (idzie do szafki, zapala świe-
cę w kałamarzu, bierze brzytwę).

Blas. Ja dam na stół czystą poszewkę! albo nie dwa ręczniki. (idzie do kufra).

Sołtys. Ja uczynię światłość!

Wszyscy. Gdzie? jak? Nie ma drugiej lampy. Nafta podskoczyła.

Sołtys. Latarka od roweru. (zaświeca ją). (śpiewając i świszcząc krzątają się).

Orzelski. (dając Blasowi zwiniętą paczkę). Połóż tu na stole — papierosy i zapalki

Poziomka. (namydliwszy twarz, goli się przed lustrem zawieszonym na poręczy łóżka, przysiadając).

Wicie! śpiewajmy mruczando ...

Stalowy. Wszystko ładnie, ale wyszedłem z roli. Jako mędrzec z beczki nie powinienem się oddawać robieniu małodusznych porządków... Ale to dla Orzelskiego... mam ci jakąś słabość do niego ...

Orzelski. Ciesz się mnie. (ściskając się kordyalnie).

Poziomka. (dyrygując brzytwą, usiłuje nakłonić ich do śpiewu). No ja sam nie będę! (Wszyscy intonują walca z Wesołej Wdówki).

SCENA V.

POZIOMKA — BLAS — STALOWY — ORZELSKI
SOŁTYS — HOPFEN — SZAMPALSKI — DUDRAK
SĄSIAD PRZYCHODNI — ANECZKA

Wchodzą krokiem tanecznym, jeden za drugim: Hopfen i Szampalski przyspiewują sobie w takt. (Dudrak który wszedł trzeci, usiada ponury w kącie). (Orzelski. Poziomka, Stalowy przyklaskują im).

Orzelski. O! Ci przywożą zawsze wagon humoru ...

Hopfen. (krępy zajadły i uszczypliwy) (trącając Poziomkę). Poziomka, Erdbeere, tańcz bo cię spierę!

Poziomka. (zrywając się wściekły). Pumo afrykańska, daj spokój, bo jak cię gruchnę!

Hopfen. (wracając się ku niemu). Co?!!

Poziomka. (jeszcze głośniejsz od Hopfena). Co?!!
(mierzą się oczyma i przysadzają jak dwa koguty).

Wszyscy. (oprócz Blasa) pokrzykują naśladując ich i śmiejąc się — „Co?!! Co jest“?!

Blas. Dajcie spokój! Dajcie spokój!..

Poziomka. Nie widzisz że się gołę!. Patrzysz tylko, by komu dokuczyć, ty... świntuchu. (namydlł mu nos pędzłem)

Hopfen. Co? kto świntuch?

Poziomka. Ja nie.

(Obaj porywają się za bary i kułakując przewracają się na łóżko).

Szampalski. (sympatyczny wiercipięta). Złamiecie mebel do spania!

Sołtys. Rozdzielić ich (rozrywają ich do spółki z Szampalskim).

Poziomka i Hopfen. (patrzą na siebie zziązani źli)
(Pauza)

Orzelski. (dobywa z kieszeni wielką, czarną różę i staje między nimi). Koledzy... oto czarna róża!

(Zapaśnicy zmieszani uspakajają się i rzucają się sobie w objęcia).

Hopfen. Wiesz Ziomka, że jestem doprawdy świntuch.

Poziomka. I ja także troszeczkę. (podają sobie ręce).

Stalowy. Nic nie szkodzi! Jeden trochę plus, drugi trochę minus, to się znosi!

Orzelski. Do stołu! otwieram zebranie.

(Wszyscy siadają jak kto może, na krzesłach,

kuferkach, kanapie).

Poziomka. Otwierajcie, ja skończę tymczasem golenie.

Orzelski. (stojąc) Kochani Koledzy, kochani bracia!

Stalowy. (raczy papierosami, zapalają i słuchają).

Orzelski. (trzymając różę przed sobą).

Po kim-że to w żałobie różyczko,

Za kim smutno ci tak królowo?..

Szampalski. (wstając).

Anim ja smutna, anim nie w żałobie,

Tylko oczy wasze nie widzą różowo! (siada).

Orzelski. Możesz gniewna że kwitniesz w ustroniu,

I ze wdzięki tve skryte przed światem!

Błas. (wstając).

Nie! — Tylkom wyblęsta bez słońca,

Oblecicie mnie wy czynu szkarłatem!

Wszyscy. (wstają, podnoszą prawą rękę do góry).

Sołtys. (mówi wolno i lirycznie).

Z nas każdy to twój kochanek.

Słońcem ci młodości cud!

Ty jedna z ziemskich bogdanek,

Ukochałaś nasz ból i nasz trud!

Orzelski. (podaje stojącemu obok czarną różą — przechodzi ona z rąk do rąk i wraca przed Orzelskiego.)

Stalowy. (biorąc ją do ręki, odezwał się). Niech cię chociaż ucałuję (Zbliżywszy do ust oddał następnemu).

Orzelski. Usiądźmy a teraz — kto z was ma sprawozdania, i jakie?

Stalowy. (wstaje). Oto z tej księgi, bracia wypilem pierwszy kaput. Jesto historia naszego giobiku.

Pławiłem się w przestrzeniach, jak w smalcu, a ja-
kom się pławił, opowiem. (kładzie książkę na stół).

Sołtys. W tej mojej księdze, o bracia, skrobałem

ustrój i politykę tego świata. Z wszystkimi ciałami dyplomatycznymi brałem się za bary. (Kładzie księgę).

Hopfen. A ja wiecie, miałem dzisiaj właśnie rozpocząć tę oto historię sztuki — tyłkom zapomniał. Drugim razem.

Wszyscy. Naturalnie! Nic nowego! Leń! (śmieją się). Szampalski. (kładąc książkę). Trzy rozdziały z historii kultury.

Dudrak. (kładąc książkę). Niewstydliva somatologia.

Orzelski. Zaiste, dość na dzisiaj. Koledzy, darujcie że dzisiaj przejdziemy do porządku dziennego nad sprawozdaniami. Jestem jakoś lirycznie usposobiony.

Poziomka. Aha, po wymianie not z Sobotniewiczem,

Orzelski. Być może... być może. Czuję taką wielką potrzebę — wymienić dziś duszę. — Nie wiem czemu. — Ogarnia mnie zawsze dziwna rzewność, kiedy was widzę... ramię przy ramieniu. Koledzy bracia! Czarna róża woła nas do aktu wymiany tajemnic! Wierzajcie mi, że nigdy nie mogę bez drżenia otworzyć tego sezamu. Przypominam wam to co mówiłem zakładając „czarną różę“, że przyjaźnią nie jest rozgłośna, bezinienna przychylność, oblewająca wszystkich poetycznym pokostem uczucia, ale czyn, czyn indywidualny. Sprzyjać można wszystkim, ale przyjacielem można być tylko jednemu. Lecz pora nam!

(Wszyscy wstają i biorę się za rękę).

Orzelski. Mówcie, czego komu braknie, kto z was pragnie, kto z was łaknie, komu żmudno, komu trudno — komu śmianie lub płkanie! (siadają — długa pauza).

Orzelski. (wodząc okiem po obecnych). Dudrak — ty mruku małowowny!. Dudrak!.. ejże... widzę dobrze twój niepokój... powiedz... powiedz nam... ulżysz sobie... poradzim, pomyślim!..

Dudrak. (młody chłopak, biedno przyodziany, o cerze chorej i pół przymkniętych oczach)... (wstaje po chwili wahania). Bracia... (zacina się).

Orzelski. (biorąc go za dłoń, przechylony przez stół). Mówże, mój drogi...

Dudrak... Bracia... jestem .. bardzo chory...
(Chwilka pauzy).

Błas. (wstając powoli. Mówi wzruszony). Ja ci dam pie-niądze na lekarza powiedz nam wszystko — a mnie zrób zaszczyt ofiarowania. tejtajemnicy ja ci pomogę.

Dudrak. Niestety — nie mogę. Wiesz... tobie szczególnie wstydziłbym się przyznać.., od ciebie przyjąć pomoc.., Ty nie wiesz, co mi jest. Lecz słuchajcie. Tailem długo... bałem się pisać matce, że... Przyjechałaby i cóżbym był zrobił.. jak jej powiedzieć? zwierzyć się zaś gospodarzowi klasy... wyleciałbym z zakładu... na lekarza niemam... a „niestydliwą somatologię“ przeczytałem za późno!

Hopfen. Dość... Jutro bądź u mnie. Mam brata lekarzem... będziesz zdrów. Nie mówmy więcej o tem. Posłuchaj za to mojej tajemnicy — i odbierz mi ją, ale na zawsze.. (wstaje). Wiesz, zem pasyonat.. zrobiłem dziś matce wielką krzywdę i łajdactwo... płakała.. Uspokój ją — powiedz że to ostatni raz... wiesz, jakiś dyabeł przekory nie pozwala mi nigdy powiedzieć.. „nie zrobię tego więcej“... to takie komiczne, sztubackie... ale tu wam mówię... to było raz ostatni... (siada). (Dudrak i Hopfen podają sobie ręce).

Orzelski. (podnosząc różę ku Hopfenowi.) Coś zrobił takiego?

Hopfen. O mój sport chodziło. Nowy rower. Obraziłem ją.

Orzelski. Sport., sport... dobre to — ale trzeba być po zatem człowiekiem.

Hopfen. (trochę szorstko.) No, no! masz rację!

Sołtys. (wstając.) Jak wiecie, wysłużywszy we wojsku, i mając już jaką taką posadę — zapisałem się mimo to, mając 23 lat życia do naszego zakładu. Żal mi było sił, które jeszcze czułem — chciałem się uczyć.. I jakoś to szło — chociaż coraz ciężej — już jestem stary i do łba mi nie idzie gładko. Dopływam do celu — po tylu trudach, po tylu przemęczonych nocach, z osłabionym bardzo wzrokiem... zdawało się — że już dobieję do brzegu. Wy może myślicie, że się w matematyce zaniedbuję... przysięgam wam, że nad nią morduję się do zaparcia samego siebie... i coraz to gorzej... „Czarny pan“ .. upatrzył sobie coś do mnie... powiedział. że promocji nie uzyskam... że muszę sobie na całe życie popamiętać — jak Maksymilian Sobotniewicz uczy matematyki.. (zaczyna się).

Błas. (wstając wolno) Sołtysku... nie gniewaj się... nie chcę cię obrazić... ale... moja szwagrowa i... jego żona są przyjaciółki... Jak nie można inaczej... nie gniewaj się!. I jeszcze inne drogi znam całkiem przypadkiem.. trafimy...

Sołtys. (wyciągając doń rękę)... Żeby przynajmniej uwierzył — jak się nad tą matematyką męczę .. Ale tobie Błasku, czem się odpłacić?..

Błas. Ja... ja... ja nie mam ani jednej tajemnicy... ja was wszystkich tak kocham ..

Sołtys. (całując go)... Drogi chłopie, drogi mój..

(Słysząc przegajającą muzykę mandolin — która zbliża się, przechodzi wzdłuż ulicy i ginie).

Stalowy (zrazu słucho, roztwarzając usta, potem unosi się na krześle tak jakby jechał na koniu — po pauzie zrywa się). To nasi! nasi... (biegnie do okna). Ślicznie grają, (przyśpiewuje sam). Nawet jak sfałszują to jest w tem coś sympatycznego... Dalej do szeregu! (wszyscy wstają, grupują się w gęsiego i w takt przechodzącej muzyki maszerują wśród komicznych podskoków w okół pokoju).

(Dudrak, kroczy ciężko i ostrożnie). Stanać! Stój! Na miejsca. (Skoro usiedli:) A teraz ja panowie. (Robi komiczno tragiczną minę). Akuratnie mię mandoliny nastroiły — i przypomniało mi się... Wiecie?.. ja jestem... zakochany..

Wszyscy (śmiejąc się do rozpuku). Gdzie? w kim?..

Stalowy. (prezentując się). Przecież jestem postacią wdzięczną i śmiałą. Mogę znaleźć amatorkę.

Wszyscy. Gdzie? kogo?!

Stalowy. Zakochałem się, nie!.. raczej: Kocham strasznie panią profesorową Roztruchańską. (Głosy i śmiechy: Co, tę starą babę?) Wiecie za co?

Wszyscy. No, no!

Stalowy. Bo mężowi taką szkołę w domu daje, że biedaczysko potem w szkole myśli o domu — i nie wie, co się dzieje, taki ogłuszony!

Wszyscy (śmieją się).

Orzelski. (wstaje).

(Wszyscy cichną naraz).

Orzelski. Przyjaciele.. zachowałem siebie na ostatek... i to z rozmysłu. Kto wie bowiem, czy mówiąc dziś jako ostatni — (Słysząc od prawej chrząkania i kroki).

Orzelski. (odwraca głowę).

Sąsiad przechodni. (wychodzi ze swego pokoju — zdając się do wyjścia). Przepraszam panów najmocniej... ale nie mając wejścia innego... muszę przeskadzać... (Pauza).

Sąsiad. Przepraszam.. czy panowie tu długo jeszcze będą.. (patrzy ukradkiem na książki leżące na stole).

Orzelski. (patrzące się nań bystro). Albo .. (zamyka roztwartą książkę).

Sąsiad. Ja bardzo przepraszam... ale dzisiaj mam mieć gościa... moja siostra cioteczna... a jeżeli panowie macie coś między sobą... to może nie bardzo będzie przyjemnie, jeżeli tam.. w drugim pokoju.. ktoś obcy...

Orzelski. A pewnie, że ktoś nam obcy, jest grubo niepotrzebny... wyjdziemy niebawem...

Sąsiad. Przepraszam... przepraszam... (obrzuciwszy wzrokiem wszystkich, wychodzi)

Szampalski. Co to za pasażer?

Hopfen Człowiek prywatny.

Stalowy. *Ο ἰδιώτης, τοῦ ἰδιώτου.*

Orzelski. (który przez chwilę zastanawiał się). Czy książki, czytane przez nas, zostawiacie kiedy na widoku?

Poziomka. Zamyka się w kufrze, jak pani Wesołowska mięso. (Niektórzy śmieją się).

Orzelski. Drodzy! Jakaście mogli już zauważyć stosunek Sobotniewicza do mnie pogarsza się. Powinienien sobie z tego nic nie robić..

Sołtys. Orzelski, skurcz się, rób święte miny — byleś przeszedł! Nic sobie z tego nie rób.

Orzelski. Ha, nie mogę się przezwyciężyć. Trudno jest

przygotowywać się nauczycielowi, o którym się wie, że nas nie lubi.

Hopfen. Pewnie. Ja się nawet tym nie mogę przygotować, który mnie lubią!

Orzelski. Czuję, że lada dzień wybuchnę...

Błas. Nie, nie zrobisz tego, bo my cię o to prosimy.

Wszyscy. Nie zrobisz.

Błas. Komu jak komu, ale tobie właśnie tego robić nie można!

Aneczka, służąca (wchodzi, niosąc na talerzu cztery kawałeczki chleba z cieniuchnymi płatkami salcesonu). Kolacya!

Poziomka, (wstając i patrząc blisko na talerz, bo jest krótkowzroczny). Jakiś punkt czarny majaczy na chlebie... Aha! salceson czarny! wspaniałe!

Stalowy. (ze złe zamarkowanym brakiem apetytu). Spożywajcie,.. spożywajcie! te czarne żyłki to świńska krew... pożywna krew... Każdy kto chce być w życiu silnym i szczęśliwym, musi mieć w żyłach taką krew! (Śmieją się).

Błas. (do Stalowego). Jedz, będziesz szczęśliwy.

Aneczka. (zbliżywszy się do Błasa). O! to dla Błasa.. (ciszej) ten największy kawałek.

Błas. Dobrze, niech Anna położy na stole. Teraz nie będziemy jedli bo mamy coś do mówienia.

Aneczka (kładąc na stół). Dobrze: (Ciszej). O ten — tu — największy (patrząc kokieteryjnie na Błasa, wychodzi).

Błas. (do Stalowego). Bierz!

Stalowy. (niezdecydowany, choć chce wziąć). No dobrze — ale wy!..

Błas. Bierzcie, Stalowy, Sołtys, Dudrak. My jedli obiad... (Stalowy, Sołtys Dudrak, po krótkim wahaniu

biorą i jedzą).

Dudrak. Darujcie ze bioreę, choć gościem nie jestem..

Hopfen. Niech cię raczej twój żołądek przeprosi, że się ścisnął! Ale słuchajcie chłopcy, zostawcie tę smołę z chlebem i pójdźcie ze mną Przetrawimy!

Stalowy. (jedząc). Doskonale — ale muszę tę porcyę skończyć, bo mi bardzo przyjemnie język i podniebienie łaskocze.

Blas. Tu jeszcze została — zawiń sobie do papierka, na jutro.

Stalowy. Optime. Zbierajmy się, (wyciąga kajet, wyrywa kartkę i zawija).

Orzelski. Misterium zamknięte. (podnosi różę do góre). Pax! pax! Ergo paramus bellum!

Wszyscy. Pax! (3 razy). Paramus bellum! (3 razy).

Dudrak i Hopfen. (stają na uboczu i rozmawiają żywo).

Sołtys i Blas. (wziąwszy się pod ramię — dyskutują). (Gwar, śpiewy).

Szampalski. Wiecie co, chodźmy dziś pod „holenderską krowę“!

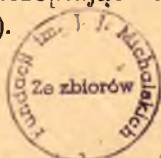
Głosy. A dobrze! dobrze!

Blas. Nie mogę pójść z wami — bo Michałek przychodzi za chwilę na lekcję. I Orzelskiego wam zatrzymam na kwadransik — on tam nadciągnie.

Orzelski. Dobrze! Więc idźcie i czekajcie na mnie.

Głosy. Naprzód! Dalej!

Szampalski. (bierze rower. Wychodzą zartując śpiewając i zaczepiając się. Niektórzy czyszczą się szczołeczką).



SCENA VI.

BLAS — ORZELSKI — SĄSIAD PRZECHODNI —
SIOSTRA CIOTECZNA — P. MADZIA

(Chwilka pauzy).

Blas. Mam do ciebie dwie prośby. (dając mu pieniądze). Daj niby od siebie — Dudrakowi.

Orzelski. Nie. Sam mu pomogę. Skąd masz? Z lekcyi?

Blas. Michałek biedak. Uczę za darmo. Czasem wuj przysze, bo powiada, że się przyda, abym miał co „dopchać“ do wikt.

Orzelski. Schowaj! A drugie, co?

Blas. Drugie.. żebyś jeszcze ten nie cały rok przetrzymał. Będiesz miał ręce wolne. Ustępuj Sobotniewiczowi na każdym kroku! Rachuj się z matką twoją!

Orzelski, (zasepiony). Wiem.. wiem..

Blas. (dyskretnie).. I., z panną Madzią..

Orzelski. (j. w.). Wiem.. o! wiem!..

(Sąsiad przechodni wchodzi ostrożnie z „siostrą cioteczną“. (Pokazując jej drzwi do swego pokoju. stara się ją zakryć sobą przed oczyma Blasa i Orzelskiego)

Sąsiad. Przepraszam... ja przepraszam.. (do siostry ciotecznej): „Tędy“.

Siostra cioteczna. (ubrana kolorowo, naróżowana, z torebką w ręce — choć niby zażenowana, kokietuje bokiem Blasa i Orzelskiego. Wchodzi z Sąsiadem do jego pokoju).

Sąsiad. (zamyka drzwi na klucz).

Orzelski i Blas. (patrzą sobie zdziwieni w oczy).

Orzelski. Co to za indywiduum?

Blas. Że on się nas nie wstydzi.. że on się nas nie wstydzi

Orzelski. Kto wam stancę wybierał?

Błas. At — koło zakładu zawsze dużo ofert i oferentów. — Cóż — „biedna wdowa“... nie wybrała się.. At — Że też on się nas nie wstydzi. I Michałek niebawem nadejdzie ...

(Drzwi uchyla ktoś ostrożnie).

Błas. Może i on!

Panna Madzia. (wchodząc. Nieco zazenowana). Do brywieczór.

Orzelski. Dobrywieczór pani.

Panna Madzia. Chciałam tylko... chciałam... Czy mogę prosić o... pożyczenie mi historyi nowożytnej

Błas. Jest! Jest proszę pani. (daje jej książki z półki. Do Orzelskiego). Ale wiesz wyjdę.. przed Michałką...

Orzelski. (pospiesznie). Ależ po co! Nie bądź dzieckiem — przecież trafi tutaj.. Zostań!..

Panna Madzia. (patrzac bacznie na Orzelskiego — z odzieniem urazy. Dwuznacznie, trzymając książkę w ręku). Więc to jest nowa historia... historia całkiem ... nowożytna...

Orzelski. A jednak... taka stara... taka zawsze jedynaka... zobaczy pani...

Panna Madzia. (odchodzi zwolna ku drzwiom. Nagle odwracając się, jakby zdobywszy się na postanowienie. Do Orzelskiego, widocznie wzruszona). Proszę pana, dlaczego mnie pan już od kilku dni... (urywa — wybiega. Pauza).

Błas (ogromnie zakłopotany)... Wiesz... proszę cię .. nic nie rozumiem ...

Orzelski. Serdeczny bracie... to nic!.. ona za to dobrze rozumie...

SCENA VII.

BLAS — ORZELSKI — PANI WESOŁOWSKA —
SĄSIAD — SIOSTRA CIOTECZNA.

Pani Wesołowska (wchodzi czerwona jak kobuz, śpiewa podchmielona). Oj, moje studenty — jabym wam dawała jeść jak w pierwszej restauracyi — ale co — ja biedna wdowa — wszystko podskoczyło — elementarz zapisany... ale ja was bardzo lubię... (Pauza).

Pani Wesołowska. Czy ten pan (wskazuje drzwi) jest? Orzelski. Aa — jest!

Pani Wesołowska. Oj tak, tak. Słyszeliście kawałek z Karmen? (Śpiewa podchodząc do drzwi sąsiada). Bo miłość to cygańskie dziecię — ani jej ufaj, ani wierz — kiedy pokocha, to nad życie! lecz gdy pokocha — (ku drzwiom).. strzeż się! strzeż!!!... (słucha). Czy tam jest ktoś jeszcze?

Orzelski. Siostra cioteczna...

Blas (szarpnął go za ramię nadaremnie).

Pani Wesołowska. Co?! jaka siostra? (puka do drzwi). (próbuję) Zamknięte! Otwórz pan zaraz — (słucha). Nic?! otwórz pan! bo będzie operetka — a pan wie, że ja umię zrobić przedstawienie!

Sąsiad. (otwiera stając w drzwiach). Co pani wyrabia?

Pani Wesołowska. (wypycha go siłą w głąb i wchodzi sama), (krzyk wrzask i pisk).

Siostra cioteczna, (wylatuje, przebiega pokój do drugiego wejścia).

Pani Wesołowska. (we furyi wraca do pokoju studentów; do sąsiada, który jest w swym pokoju). To taki przykład dla niewinnych dzieci?!.. to tak się robi?!.. Popamiętasz pomidora!.. czekaj!!.. (do Orzelskiego i Blasa). Moje panowie studenci... Czym się

czegoś podobnego spodziewała?.. Ale może on (wskazując drzwi)... napił trochę to... znowu niezły człowiek — co mu się stało? czy rozum stracił... Aj, jaj, jaj!... Aj! jaj! jaj! (biada).

SCENA VIII.

BLAS — ORZELSKI — PANI WESOŁOWSKA
MICHAŁEK — SĄSIAD.

Michałek. (chłopczyk w mundurku, biedny i nikły, z paką książek). Przyszedłem na lekcję...

Orzelski. (do pani Wesołowskiej). Teraz lekcya... przepraszamy...

Pani Wesołowska. Pewnie, że nie będę przeszkadzać... Pójdę tylko tam popatrzeć, i przekonać się, co się stało. (zmierza do drzwi Sąsiada).

Orzelski. Ależ teraz Blas ma lekcję.

Pani Wesołowska. I ja także idę na lekcję.. nie bójcie się, nie będzie rewetesu. (wychodzi. Pauza).

Orzelski. (przechadza się, zastanawiając się).

Blas. (stoi bez ruchu).

Sąsiad. (wypada, za nim pani Wesołowska, do Orzelskiego i Blasa). A panów to co obchodzi! Aa! przepraszam! To już nikt nie może przyjść do mnie. Zaraz musicie fagasować pani Wesołowskiej! Aa! przepraszam! To Ślicznie!

Orzelski. Pani Wesołowska pytała — czy tam kto jest. Powiedziałem, że pańska siostra cioteczna!

Sąsiad. Książek pan pilnuj! Uważa pan! Nauki, uważa pan! A nie tu zebrania robić i czortami jakimś zajmować się.

Orzelski. To pana nie nie obchodzi.

Sąsiad. Niic? Niic?.. proszę! O! to zobaczymy!.. Ja wiem, co w tej trawie piszczy! Zobaczymy! (wybiega drugimi drzwiami).

Pani Wesołowska. (która go usiłowała zmitygować. Podreptuje za nim). Czekał pan! czekał pan! A to ci pasionat, pasionat dopiero! (wybiegła za nim. Pauza).

Orzelski. (do Blasa). No! do lekcji, Bądź zdrów! zabiera się do odejścia).

Blas. Słuchaj, ja się boję... wiesz... ten nasz sąsiad..

Orzelski. Lekcja czeka. Żegnaj! (wychodzi).

Blas (spozostzegając różę na stole.) Zastawił cię?.. zapomniiał? (podnosi ją ze stołu i chowa trostkliwie pod mundurek. Do Michałka). Michałku — lekcyja. Nie rób sobie z tego nic, coś słyszał — wiesz to taki jeden gwałtowny pan.

Michałek. (rozkładając książki) Nie mogłem się dobrze przygotować — głowa mnie bolała i kręciło mi się w oczach...

Blas. Coś jadł na obiad?

Michałek. Einszpenera i chleb z herbatą..

Blas (całując go w czoło)... No — czekaj — jakoś to się naprawi. Co macie zadane?

Michałek. O, to... z łaciny..

Blas. (patrzac do księgi). Coniugatio periphrastica activa i passiva... Aha!... Mój Michałku... a wiesz ty, co to takiego ta coniugatio periphrastica activa?..

Michałek. (zmieszany i drżący): Coniugatio periphrastice activa... to jest... to jest...

Blas Na przykład: amaturus sum... co to jest? z czego to się składa?..

Michałek. się składa... (połykając ślinę)... z participium...

Blas... futuryi...

Michałek. futuri.

Blas... acti...

Michałek. (połykając ślinę), activi...

Bias. Dobrze dziecko, dobrze... wiesz?... jak tylko skończymy lekcję, a będziesz dobrze odpowiadać. pójdziemy zaraz co zjeść...

Michałek. (usiłując z uciechy odpowiadać prędko).
Coniugatio periphraistica activa jest to participium futuri àctivi... i... i... i... i...

KURIYNA,

Akt II.

Klasa średniej wielkości — obielone ściany tu i ówdzie brudne i uszkodzone — wejście z prawej — kilka ław — katedra na wzniesieniu z prawej, obok niej w kącie tablica zapisana kilku datami historycznymi, wśród których widnieje ogłoszenie: „Koledzy! Pojutrze walne zgromadzenie delegatów wszystkich zakładów. Porządek dzienny; Biblioteka uczniów. Stawcie się jako jeden mężczyzna (podpisano). Poziomka“ — Na katedrze dziennik i kałamarz — nad nią krzyż. Z boku nieco termometer. Na ścianie portret popiersia Sofoklesa, plan teatru greckiego — mapa Europy. Koło samej katedry krótkie szeregi dla garderoby nauczyciela. Z innych sprzętów: Kosz na papiery, spluwaczka.

(Przed podniesieniem zasłony wielka wrzawa).

SCENA I.

(Dwudziestu kilku uczni w klasie zachowuje się rozmaicie — jedni jedzą śniadanie, drudzy się zaczepiają — niektórzy powtarzają lekcję — koło katedry grupka — Blas, Poziomka i Orzelski dyskusują żywo, stojąc za katedrą. — Poziomka siedzi na niej, rozmowa ich zwraca uwagę klasy — uciszają się i słuchają — widać dwu lub trzech ubranych jak z zurnala, o manierach poruczników kaweleryi).

Orzelski. Byłem wczoraj pytany.

Blas. To nic. Może cię dzisiaj zarwie.

Poziomka. O co zakład? No, o co? że cię zarwie.

Orzelski. Jestem przygotowany.

Poziomka. Ee! ty także morus.

Stalowy. Słuchajcie — tu, z tej strony katedry, macie na dole napisaną lekcję — świeżo z pod prasy! Ale zerkajcie ostrożnie, aby się kto nie zjawił przypadkiem!

Klasa. Vivat! vivat! Dyogenes! hurra! hurra!

Poziomka. Pssst! pssst! Silentium panowie. Orzelski zwierzył się nam wczoraj, że napisał trawestację wykładu Sobotniwicza. Musi nam to na wielkiej pauzie przeczytać.

Orzelski. Kto wie, czy będę na następnej pauzie w klasie.

Klasa. Musisz przeczytać, musisz!

Poziomka. Panowie! Sursum corpus i anina naszego poety! W górę go! (kilku bierze go za ramiona i obnosi wśród ogłuszających krzyków).

Sarenka. (młody nauczyciel o uśmiechniętej, inteligentnej twarzy — w ubiorze trochę zaniedbany, Wychyla głowę). Oho! A to co? (życzliwie). Owacya!

Głosy. Owacya! owacya i trawestacya! (kilku najbliższych kłania mają się).

Sarenka. Taak — trawestacya czego?..

Stalowy, To sekret Orzelskiego.

Sarenka. Orzelski — mój drogi — chodźno na chwilę właśnie mam ci coś powiedzieć. (wychodzi).

Orzelski. (wychodzi za nim).

Klasa. Niech żyje Sarenka! (kilku próbowało śpiewać. Po chwili uciszają się wszyscy).

Poziomka. O! Sarenka słyszy jak trawa rośnie!

Stalowy. Oh! ma nos! ma nos!

Poziomka. Moi drodzy — nie zapominajcie też o ogłoszeniu na tablicy! Agitować, aby zebranie było imponujące! (Dzwonek).

(Wszyscy idą na swe miejsca w ławach — cisza. Po krótkiej chwili — roztwierają się drzwi — wchodzi Orzelski. Kilku z bliższych ławek, sądząc że to nauczyciel wchodzi na godzinę, podniosło się — i siadło napowrót).

Orzelski (zadumany idzie na miejsce).

Błas. (kiwa nań i woła półgłosem.) Mój drogi — na pisz mi co było -- i rzuć!

Orzelski. Wiesz bez tego (siada).

Błas. (nie spuszcza zeń oka).

(Chwilka pauzy -- słychać obracania kartek i tu i ówdzie dyskretną powtórkę szeptem).

Stalowy. Ale! ale! Orzelski! Wiesz co mi się zdaje? Widziałem na korytarzu, ale niewiem dobrze, czy to on....

Orzelski. Kogo?

Stalowy. Tego., zdaje mi się, że tego... paseżera... sąsiada... szedł za Sobotniewiczem do kancelaryi..

Poziomka. Co ty mówisz?!.. ten kauzyperda! Niech się podłoga pod nim rozstąpi! Wiecie, lecę w dyrdy do kancelaryi — udam głupiego — i powiem, że Sobotniewicza jeszcze niema w klasie — a już dobrze po dzwonku... (wybiega).

Stalowy. Jak on nas wtenczas tak glansownie przepraszał i oczami po kątach łypał, pomyślałem zaraz, że tak uprzejmym może być tylko jakaś powsinoga... Że się powłókł do Sobotniewicza, to casus, co daje do myślenia...

Błas. Może to nie on...

Orzelski. (do siebie). To ten... to ten..

Głósy. Co to jest? Co nowego?.. Mówcie!..

SCENA II.

KLASA — NAUCZYCIEL BEJ — POZIOMKA BUŁA.

Bej. (wchodzi razem z Poziomką. Starszy mężczyzna, łyśawy, o tubalnym głosie — idąc balansuje rękoma i chwieje się sympatycznie — kiedy mówi, przysłania oczy ręką — i pochyla, głowę, jakby rozmawiał z kimś pod katedrą. Od czasu do czasu odrywa rękę od czoła i wykonuje okrągły, oratorski giest. Klasą spostrzegłszy go wydaje okrzyk zadowolenia, wstają).

Bej. (idąc ku katedrze, odwraca się). Cii! cii! Spok! spok!.. (cicho spokój!.. do Poziomki). Idź Poziomka na miejsce... Ale cóż to się stało takiego, żeście nie dali sobie uszczknąć ani jednej minuty z godzinny naukowej — i wysłali parlamentarza po nauczyciela, izby w te tropy pospieszył z światłem wiedzy, hę?..

Klasa (przyjazny szmer, siadają).

Bej. (zasiadając). Ciii.. cii! Spok! spok... Ja tu tylko na parę minut... Pan Sobotniewicz zajęty jakąś ważną sprawą — zanim przyjdzie — rozerwiemy się pogadanką z mego przedmiotu.. (Cisza. Kilku ogląda się w stronę Orzelskiego. Bej, po chwili skupienia). Czas ucieka... godziny, minuty i sekundy umierają jedna po drugiej... I nam coraz bliżej do śmierci. Zaczynam tedy, pókim jeszcze żywy i póki pan gospodarz klasy nie przyjdzie mnie

z tego wysokiego miejsca zluzować. Wspomniałem wam ostatnio, że minister Henryka VIII starał się uzyskać u watykanu rozwiązanie małżeństwa króla z Katarzyną aragońską... (podnosząc głowę). Korzacki! proszę schować lusterko i szczoteczkę od zarostu, do mundurka szkolnego albo pod ławę szkolną... (Korzacki, przesadnie ściśnięty i wymuszkany, chowa flegmatycznie szczoteczkę do wąsów Bej ciągnie palej). Po 18 latach, skoro kilkoro dzieci...

Klasa. (lekki huczek).

Bej. Spok!.. pomarło niemowlętami została jedna dziewczka a potomka męskiego nie było..., (Głosy: Szkoda! szkoda!) Henryk zapalał namiętnością (giest oratorski) do pięknej damy dworu, Anny Boleyn...

Klasa. (wielki huk).

Bej. Ciii! cii!.. Przepięknie to, że was nauka zajmuje.. ale powtarzam po raz x-ty plus y-ty uważajmy tak, iżbyśmy mogli powtórzyć lekcję już tu w klasie — a w domu mieli już jak najmniej do roboty. Cennego waszego czasu pozaszkolnego nie chcemy zbyt absorbować. Ajakże! Jacy my jesteśmy grzeczni! — zamiast pomyśleć jak wam na czas odpoczynku, czas najniebezpieczniejszy dla młodzieży, coś obmyśleć — chcemy wam dać jak najmniej zajęcia. Ba! kiedy pomimo tego niektórzy krążą w czasie nauki po sferach astralnych... prawda Orzelski?..

Orzelski. (Staje milczący).

Bej. (nieco skrzępowany). Przapraszam... nie chciałem Orzelskiemu przez to dokuczyć... ale — bo też mi na coś bardzo roztargniona...

Orzelski. (milczy).

Bej. (z wielką życzliwością i przyjaźnią). Proszę

widzieć się ze mną na najbliższej pauzie... miałem właśnie do Orzelskiego parę słów — dobrze?

Orzelski. Dziękuję sor ecznie panie profesorze! Zgłoszę się (siada).

Bej. Słyszałem, że Orzelski zrobił przesłicznie ostatnie wypracowanie piśmienne, literackie. Cieszy się to, cieszy rzetelnie. Ale proszę nie zapomnieć zgłosić się... w sprawie świeżej... i... aktualnej..

Orzelski. Nie zapomnę,

Buła. (niezgrabny grubas wchodzi).

Głosy. Buła! Buła! Spóźniła się!

Buła (szurnawszy nóżkami). Wyszędłem na pauzie po zeszyt.

Bej. I spóźniłem się.

Buła. Musiałem się spóźnić. Wojsko przechodziło. Musiałem sobie odczekać. (idzie na miejsce gdzie go poszturkują zartobliwie. — Śmiechy).

Bej. Spok! Spok! Ciiii!

Bej. (skupiając się). Naczem-że to stanąłem?..

Kirkor. (gogo). Henryk VIII zapalał namiętnością..

Bej. Dziękuję. Ale nie o tej części nauki myślałem w tej chwili, Wiecie... moi drodzy panowie... jeśli zamiast nową szufladkę faktów wstawiać do głów waszych, mówię do duszy waszej, to mię słuchajcie duszą. (Cisza)

Bej. Nie każdemu wystarczy to, że mu się głowę umebluje. Bo to jest tak: posłuchajcie, Wy nie potrzebujecie w szkole niczego szukać. Coraz nowsze, gotowe wiadomości same w padają do ucha. Cała sala szkolna jest jak wata wybita gotowym do połknięcia materiałem. Nie trzeba za niczem szukać, niczego samemu dochodzić -- tylko trawić i wciąż trawić. Dlatego nie znacie głodu nauki. A samo-

dzielność i inicjatywa wasza jest.. (z bolesną ironią) wprost fenomenalna! Od czasu do czasu pojawia się między wami taki, co robi dziurę w tej watówce — i ot! co!.. kłopot, bo przeciąg się robi. Ale, kochajcie takich.. kochajcie!..

(Pauza. Kilku patrzy na Orzelskiego).

Bej. Ale znowuż ad rem. Bo Kirkorowi właśnie chodziło o to, że niby ta namiętność Henryka VIIIgo do Anny Boleyn..

Klasa. (huczek)

Bej. Miło to, bezsprzecznie miło słyszeć takie wybuchy radości w toku nauki — ale w końcu gotowo tu być za wiele radości a zamało nauki. Ale z wami to zawsze jednak: albo nauczyciel jest surowym i bezwzględny — wtenczas osiąga siłą rezultaty nauki o stwarza między sobą a uczniami nieprzebytą przestrzeń niechęci i nieufności — albo też jest ludzkim i przyjacielskim, wtenczas znajdzie się zawsze kilku w klasie, którzy usiłują godzinę jego obrócić na rekreację.. To mnie zawsze bardzo smuci — szczęściem jednakże jest takich wyjątkowych wesołków nie dużo.. wystarczają wszakże, aby klasę zarazić nieuwagą.. O! jaka teraz cisza... wierzajcie mi, że takie skupienie i nastroj podnosi poziom nauki — wierzajcie, że rozrzewnia nauczyciela, któryby z głębi duszy wydobył wszystkie cudzy okraszenia i umilenia nauki — Ale niema to być cisza obawy i lodu, w której klasa jak poskromiony potwór czeka w złem milczeniu — to ma być cisza, w której miłość i wiedza sprzęga nas niewidzialnymi nićmi w jedną istotę.. Tu, w iej klasie, już niejedna taka nam upłynęła godzina... Przypatrzcie się, kochani,

tym, którzy są waszą chluba... Orzelski, Blas. Stalowy, Poziomka i wielu innych. (wymienieni wstają między innymi także Kirkor i Korzacki). Oni powinni całą klasę zagrzać przykładem — a godzin naprawdę pięknych i wielkich będzie coraz więcej... Blas. (wstając). Wszystkie będą takie, panie profesore, wszystkie!

Głosy. Tak jest! Wszystkie! (Wstają wszyscy z ław). Orzelski. Przyrzekamy! — (Pauza).

Bej. (wzruszony). Proszę.. spocznijcie! (Wszyscy siadają).

Bej. A teraz posłuchajcie tylko uważnie.. (Pukanie).

Sołtys. (siedzący z kraju wychodzi i wraca w tej chwili). Pan profesor Sobotniewicz już przyszedł.

Bej. Zatem na drugi raz (wychodzi. Klasa wstaje. Po jego wyjściu siadają).

Blas. (półgłosem). Orzelski!

Orzelski. No?

Blas. Widzisz, jak długo był u Sobotniewicza. Przyznam ci się, że byłem u niego i prosiłem aby dał spokój... chciałem mu dać wszelkie zadosyćuczynienie...

Orzelski. I pociąg to zrobił, mój drogi, po co? (Poziomka wstał i kilku pociągnięciami narysował na tablicy sylwetkę Sobotniewicza — ku uciesze klasy).

SCENA III.

KLASA — SOBOTNIEWICZ.

Sobotniewicz. (wchodzi. Klasa wstaje w chłodnym milczeniu).

(Człłek starszy, zażywny, o oliwkowej cerze i czarnych wąsach zwisających — mina satrapy i impetyka — mówi z namaszczeniem, apodyktycznie, wpadając z wysokiego falsetu w głęboki bas. Wchodzi energicznie, wiesza palto i kapelusz, odwraca się do klasy — umierzy ją spojrzeniami, zwraca uwagę na

Korzackiego, który siedzi czytając jakieś humorystyczne pismo — Korzacki wstaje, następnie daje głową znak by siedli. Spozrzega napis natablicy, kiwa głową ironicznie). Zmazać!!! (Siada, roztwiera kluczykiem szufladę bierze dziennik, czyta) Ośmiu panów nie przyszło do szkoły. Ośmiu panów. (do Klasy). Proszę, może jeszcze kto nieobecny? Nikt?! Proszę nikt więcej!!! (zapisuje — odkłada otwarty dziennik).

Hopfen. (wychodzi z ławki. — wie pokornie do katedry — schyla głowę — m... ólszeptem:) Nieprzygotowany.

Sobotniewicz. Stara bajka — ale nowa dwójeczka. (Pisze. Hopfen, wracając na miejscu robi ukradkiem komiczny grymas. S. wyjmując cwikier w złotej oprawie, na szerokiej taśmie, czyści go, zasadza go z powagą na nos, czasami spogląda poprzez cwikier na klasę i sroży wąża. Szuka w notesie. Basem). Pan, (fistulką). Szampalski! (Zaledwie wymówił nazwisko, już impetycznym ruchem ręki wskazuje mu drogę do katedry koło tablicy i mówi również fistulką, przedko). Proszę!

Szampalski. (zdetonowany popatrzył jeszcze raz w książkę i wychodzi z ławki na wskazane miejsce, kłania się mechanicznie),

Sobotniewicz. (Szukając dalej w notesie. Basem). Paan... (fistulką) Poziomka — (jak wyżej.) proszę!

Poziomka. (Poprawia okularów naciąga bluzkę — idzie do katedry i staje koło Szampalskiego, między tablicą a katedrą — trąca Szampalskiego, aby mu podpowiadał).

Szampalski. (zdekoncertowany — pokazuje mu fizyognomicznie, że sam dużo nie umie — a wreszcie

przypomina mu napisy na katedrze).

Sobotniewicz, (szukając. Basem.) Paaan... Kirkor! (j. w.). Proszę!

Kirkor. (gogo. Wychodzi z nonszalancyą — i wstaje koło poprzednich),

Sobotniewicz. (j. w.). Paan... Stalowy! Proszę (j. w.).

Stalowy (wychodzi niezdarne, stąpając głośno).

Sobotniewicz. (nerwowym ruchem odwraca głowę, i mierzy go wzrokiem).

Stalowy. (idzie na palcach i staje koło Kirkora).

Sobotniewicz. (szukając) No... i pan... paan... jakiego by tu pana zapytać?.. Pann... Orzelski! (j. w.). Proszę!! (odkłada notes).

Orzelski. (wychodzi zgrabnie i elastycznie, kłania się elegancko i staje obok Stalowego).

Sobotniewicz. O! proszę! bez zbytnej elegancji Tu nie jest sala balowa, ani niema dam do tańca (Orzelski milczy. Sobotniewicz odwraca krzesło i cały swój korpus ku tej stronie, gdzie stoją — patrzy na nich po kolei. Z ironią i impetem ale więcej tonem pewności niż powątpiewania). Panowie przygotowani?

Stalowy. Przygotowani!

Sobotniewicz. (Zaledwie ten skończył — nagle). Przygotowani. (tonem, jak gdyby mówił — Aha! Zobaczymy zaraz). Paan... Szampalski. Ostatnim razem powiedzieliśmy, że ogół wrażeń cielesnych i poczucie życia tworzą... (czeka).

Szampalski... tworzą... tworzą... ciemne tło każdorazowego usposobienia.

Sobotniewicz... i dalej, że analiza tych ciemnych, samych przez się nieznaczących uczuć składowych, jest...

Szampalski.. analiza to jest.

Sobotniewicz (do Poziomki). Pan...

Poziomka.. jest trudną i często nie możemy znaleźć powodu usposobienia naszego dobrego łub przygnębiającego.

Sobotniewicz (do Szampalskiego). Anglik..

Szampalski. Anglik pewnego poranku jesiennego chce sobie życie odebrać. ulegając melancholii. Przykładem broń do skroni...

Sobotniewicz. gdy..

Szampalski. gdy naraz chmury się rozchodzą i promień słońca zabłysnął. Pospępne usposobienie mija i myśl o samobójstwie odlatuje...

Sobotniewicz, Taką melancholię nazywają u Anglików...

Szampalski. (milczy).

Sobotniewicz (do Poziomki), Pan...

Poziomka. (milczy).

Sobotniewicz. (do Kirkora). Pan...

Kirkor. Weltschmerz...

Sobotniewicz. (kiwnął ręką. Do Stalowego). Pan..

Stalowy. Splen.

Sobotniewicz. (do Orzelskiego). Pan...

Orzelski. Splin.

Sobotniewicz (do Szampalskiego). A drugi przykład?

Szampalski.(milczy),

Sobotniewicz. (pyta ich po kolei)! Pan... Pan... Pan...

Pan.. (zwraca się do klasy). ktoo wii? (Cisza).

Sobotniewicz. Nikt nie wie!

Korzacki. (gogo, wstaje).

Sobotniewicz. O! Pan Korzacki raz coś wie!

Korzacki. Pan Profesor drugiego przykładu nie dał.

Sobotniewicz (fistulką). Kochanku!.. (zanim mówi coś w pasyi, kiwa poprzód głowa i rękoma, jakby ilus-

tracą ją tą przygotowywał tok słów, mających nastąpić). Powiesz ojcu odemnie, od gospodarza klasy... że u mnie w psychologii i matematyce dwója... w innych także.. żeby sobie ciebie zabrał..

Korzacki. Kiedy ja nie mam ojca! tylko opiekuna.

Sobotniewicz. (kiwa w pasy głową i ręką — jakby mówił „jaki mi zuchwały i dowcipny“. Zdaje się, że mu powie kazanie — ale kończy prostem). Kochanku! siadaj! (tonem czekaj! czekaj! do Poziomki). Pan.. (przypominając jego nazwisko). Pan Poziomka? tak?

Poziomka. Tak.

Sobotniewicz. Pan nam powie, kiedy powstają wzburzenia umysłu?

Poziomka.. kiedy w masę wyobrażeń znajdujących się w równowadze, uderzy nagle i niespodzianie wyobrażenie nowe tak silnie, że dawniejsza równowaga się wstrząsa..

Korzacki. (wstaje i zmierza ku drzwiom. Podwinął bluzkę, tak że widać czerwoną podszewkę).

Sobotniewicz. (w lot). A pan.. Korzacki, nam powie, zanim wyjdzie — wszak sprawa nie nagła? — powie nam... jak podzieliliśmy te wzburzenia — afekty?..

Korzacki. (gogo o długim nosie. Zatrzymuje się w drodze i milczy).

Sobotniewicz Nie powie pan nam? Proszę, teraz może pan wyjść..

Korzacki. (wychodzi z nonszalancją),

Sobotniewicz. Świeża dwója (pisze w notesie. Do Kirkora). Pan.. Kirkor.. opowie nam, co wstrzymuje wybuchy afektów?

Kirkor. (pewny siebie). Roztargnienie.. osłabienie.. angielska flegma..

Sobotniewicz Osłabienie tu... (wskazuje głowę...) właśnie sprzyja wybuchom. (kiwnął ręką). Podział afektów (wskazuje ręką Stalowego).

Stalowy. Pobudzające i ubezwładniające.

Sobotniewicz Przykład?

Stalowy Miła niespodzianka — przykra niespodzianka.

Sobotniewicz Uczeń n. p. tej klasy (patrzy na Orzelskiego) spodziewa się, ma nadzieję, die Hoffnung — spes, spei — l'espoir — Selbst auf dem Grabe wächst die Hoffnung — powiada Szi — Szy — Si —. Sziler... otóż uczeń ten spodziewa się promocyi — uczy się, ale tego, czego nie trzeba — robi zebrania, przewroty.. a tu naraz.. dwója.. i obyczaje.. i proszę! jazda z zakładu! (pokazując katalogiem ruch w kierunku drzwi, opuszcza notes na ziemię. Klasa szurnęła nóżkami, nikt się nie ruszył). Proszę! w tej klasie wogóle.. jest zły duch... kto się spodziewa obyczai dobrych, będzie miał dość dobre, kto dość dobrych — naganne, kto nagannych — złe, kto złych (widząc że się zagalopował — kiwa głową i ręką jakby wyrzucał kogo z zakładu)... Proszę! proszę! fora! Jeden zły duch przewróci wszystko w klasie... gangrenę się wycina... (do Orzelskiego). kochanku!.. przepraszam,..: Pan Orzelski powie nam... pan przygotowany?..

Orzelski. Tak.

Sobotniewicz. Proszę! proszę!

Korzacki (wraca, siada w ławce).

Sobotniewicz. (do Korzackiego). Promenadka tu i tam!

Proszę — możeby Pan sobie książki pod paszkę.. ii... na świeże powietrze!.. halsztuk ma Pan na ówieré mili, peryferyjkę ściśniętą instar osy... proszę! proszę!.. a tu praca mierzi, w klasie duszno...

Korzacki. Wietrzyliśmy panie profesorze — bo pan profesor się gniewa. kiedy zastanie kurz..

Sobotniewicz. (wolno fistułą). A pan u kogo pobiera lekcję dyalektyki?..

Korzacki. (jakby nie słyszał, przegląda książkę na ławie).

Sobotniewicz. (do Orzelskiego). Może pan będzie wiedział, co zacz jest mistrz, der Meister, Korzackich et consortes?

Orzelski. (milczy).

Sobotniewicz. Pan niewie! Pan trusia! Proszę: Ale Pan, jak powiadasz, przygotowany?..

Orzelski. (z pozornym spokojem). Przygotowany na wszystko.

Sobotniewicz. (zrazu zmieszał się nieco — poczem).

A juści, kto zamiast przysposabiać się do wielkiej chwili dojrzałości, chodzi do kolegów i bałamuci lokatorki, panny że tak powiem niemające należnej opieki — kto jest za pan brat z filozofami rozkładu i kult tegoż propaguje na całe gardło — ten... proszę! proszę!. ten musi być przygotowany na wszystko.. temu zamkniemy drzwi dojrzałości przed samym nosem i.. ii.. (kiwa ręką, nie mogąc znaleźć słowa).. i na świadectwie.: zupełnie z boczku.. ma-lutka legenda: „może być przyjętym w innym zakładzie, bez przyszkody“... Proszę... proszę!. a potem taki pan razem z mamą, ciociami i wójciami... chodzi puka, zebrze po wszystkich zakładach: Z mi-łujcie! Przyjmujcie... i ot! wykazuje się, że „bez przyszkody“ .. to także przyszkoda!.. Nie chcą takiego filozofa, bo on zamądry!.. Zaprawdę powiadam wam (do klasy) że prędzej przejdzie przez ucho igielne wielbłąd... anizeli... anizeli... (szukając wy-

razu kiwa głową i ręką — poprawia cwikiera),.. anizeli!. (szybko fistułką). — Proszę! proszę! Skończyłem!!.

Orzelski. (wolno). A teraz, czy pan profesor pozwoli mnie zacząć

Sobotniewicz. (wstaje nagle, odsuwając z hałasem krzesło).

Orzelski. (kończy poprzednie zdanie)... bronić się.. zacząć bronić się..

Sobotniewicz. (chce mu przerwać).

Orzelski. Pan Profesor przyszedł tu po konferencji z pewną bardzo sympatyczną i bardzo wiarygodną osobistością?:

Sobotniewicz. Co to, indagacya?

Orzelski. Nie, kiedy pan profesor czyni mi zarzuty i ubliża mi wobec całej klasy, niech mi wolno będzie wobec klasy tłumaczyć się.

Sobotniewicz. (uniesiony). Kochanku!! (poskromiając się). Panie Orzelski — pan powinien opuścić nas, ożenić się, założyć gazetę przewrotową,... (kiwa głową — szuka słów).. Proszę! Proszę!..

Orzelski, (kiwa głową, jakby dziękując).

Błas, (bardzo zmieszany, podnosi się wpół i patrzy na Orzelskiego przenikliwie).

Sobotniewicz. (który spostrzegł był ruch Orzelskiego). Tylko bez nouszalancyi, (nagle wybuchając)... smarkaczu jakiś,.

Orzelski. (milczy, patrząc nań zimno wreszcie). Pan profesor unosi się.

Sobotniewicz. Milcz durniu!! (do klasy). Proszę! proszę! Gdzie jedna owca trędowata, tam zawsze.. proszę! proszę!.. Oto jest godzina nauki.. o to jest lekcya psychologii..

Orzelski, Praktyczna...

Sobotniewicz (groźnie). Pan!. pan!.. mi się zaraz wytłumaczysz!..

Orzelski. (spokojnie). Wybuchy afektów, jak się dowiedzieliśmy wstrzymuje ciągła kontrola.. i rozsądek.. gdy przeciwnie... sprzyja wybuchom, jak pan Profesor wyraził się do Kirkora, osłabienie tu.. (przytyka dłoń do głowy).

Sobotniewicz. (w pasy). Marsz z klasy!! w tej chwili!! Stante pede!!

Orzelski. (nie rusza się).

Sobotniewicz. (po chwili). Proszę opuścić klasę.

Orzelski. (nie rusza się. Patrzy weń przenikliwie).

Sobotniewicz. (trochę zmitygowany). Przecież obaj tu zostać nie możemy!..

Orzelski. (nie rusza się).

Sobotniewicz. (zbiera raptem notes, ołówki i garderobę — biegnie ku drzwiom. Koło drzwi zatrzymuje się, odwraca się giestykułuje rękoma i kiwa głową, jakby gotując się do srogiej zapowiedzi — ale przestaje na dwu wściekłych wykrzygnikach fistułką): Kochanku!!! Proszę!! proszę!!! (tonem: „zobaczysz co teraz będzie! — groźnie potrząsa rękoma — wygiega. Kilku krzyknęło: hurra)!!

Orzelski. (podniósł rękę. Cisza, nikt się z miejsca nie rusza) A teraz bądźcie zdrowi koledzy! bądźcie zdrowi!! (wychodzi szybko — zostawia drzwi otwarte).

Blas (Wstając za nim) Julek! Julek!! (siada bezsilnie. W klasie nagły ruch niespokojny — Hopfen uderzył z całej siły książką w ławę, mówiąc; Psia-krew!).

Szampalski. (wyskakuje na katedrę). Koledzy! Nie

damy mu krzywdę zrobić. Wszyscy za jednego!
Soliter. (garbusek o skrzeczącym głosie). Na masz!
Co mnie to obchodzi. Niech każdy śpi. jak sobie
pościelił!

Głosy. Hańba mu! Soliter! Złam garb!
Blas. Słuchajcie — ale jak jego matka się dowie!
Kocha go nad życie!

Szampalski. Dalej! Nie puścimy go! Hej Za mną!
(zeskakuje i pędzi ku drzwiom. Kilkunastu wybiega
przez otwarte drzwi, Gwar — słyhać dzwonek
szkolny, wybijający koniec godziny).

KURTYNA.

Akt III.

(Jadalnia u Orzelskich, obszerna, miła, skromnie urządzona. Wejście w głębi — dwa wejścia z boków).

SCENA I.

ORZELSKI — PANNA MADZIA.

Orzelski. (siedzi przy stole, nad książką, pałac papie-rosa, po chwili wstaje, przechodzi się wzdłuż pokoju — zbliża się znów do stołu, stojąc przewraca kartki, czyta, wreszcie siada, podparłszy się oburącz. Nieśmiałe pukanie).

Orzelski. (nieodrywając się od lektury) Proszę.

Panna Madzia (wchodząc). Dzieńdobry.

Orzelski. (zmięszany). Dzień dobry Pani. — (Pauza).

Panna Madzia. Ida jest?

Orzelski. Nie. Wyszły obie z matką. Proszę, niech pani usiądzie, Niebawem nadejdą.

Panna Madzia (siada przy stole. Pauza).

Orzelski. Pani z przechadzki? z lekcji?

Panna Madzia. (po chwili). Zaczyna się znowu fałszywa sytuacja. Nie — nie mogę tego znieść — za chwilę poczniemy mówić o pogodzie. Panie Juliuszu, siostra pańska wie dobrze, że nie sprawy szkolne i koleżeńskie sprowadzają mnie tutaj. Mając więc odwagę mimoto wszystko odwiedzić, choć rzadko koleżankę, znajdę także i na tyle decyzji.

aby skorzystać z chwili rozmowy z panem w cztery oczy.

Orzelski. Wolałbym był, aby taka chwila nie nadeszła. Ale kiedy już jest, mówmy sobie wszystko.

Panna Madzia. O! spostrzegłam to, że pan jej unikał. Tu się zaczęło to właśnie, co pan nazwał ostatnim razem: stara jak świat historia.

Orzelski. Wiedziałem przejaśnie, że mnie panie rozumie.

Panna Madzia. Ale tego pan nie wiedział, że jakkolwiek nie mogę zapomnieć wspólnych marzeń naszych, kiedy pod wpływem słów i myśli pańskich spostrzegłam coraz dalsze i doskonalsze horyzonty życia — to przecież potrafię przejść do porządku nad uczuciem, które mnie niespostrzeżenie upoiło — jeżeli tylko dostrzegę, że zadrży Pan w głębi duszy o swoją wolność, o swoją swobodę...

Orzelski. Och tak, panna Madziu — wszystko zobowiązuje... każda chwila gorętszej rozmowy, każdy uśmiech... wszystko zobowiązuje... Niestety — spostrzegłem się zapóźno... ale się spostrzegł. Za uczucie, które się wzbudziło, nie można zapłacić wierszem, pieśnią, wspomnieniem — za uczucie trzeba dać siebie. A ja siebie dać nie mogę — drogą, którą sobie wytknąłem, muszę pójść niezłomnie — abym był niezłomnym, muszę kochać fanatycznie wolność —! Jest jeden człowiek, który dokąd żyje, ma prawo do mnie — moja matka. Ona żyje dla mnie i mną — przetoż i ja winieniem cały być u jej nóg.

Panna Madzia. Tak, o tak, panie Juliuszu. Rozumiem pana ten głębiej, że sama matkę dawno już straciłam. — (Pauza).

Panna Madzia. Czy matka pana wie już o wszystkim?

Orzelski. O czym?

Panna Madzia. O tem, co zaszło w klasie.

Orzelski. Skąd pani wie o tem? od Blasa?

Panna Madzia. Nie. Wyprowadziłam się stamtąd. Wiem skądinąd. I to jest cel jedyny, który mnie tu sprowadzał..

Orzelski. Widziałem, że panią obchodzi wszystko, co mnie dotyczy — tem bardziej może teraz, kiedy zachwiałem się.. kiedy.. powiedzmy.. zasępiło się coś na niebie mojej studenckiej doli. pani chciałaby, aby „taki człowiek jak ja“.. przodował wszędzie i jak najprościej a najregularniej kierował się na tak zwanego porządnego..

Panna Madzia. (przerywa mu z uniesieniem, wstaje). Panie Juliuszu, usiłuje pan zakrzyczeć sobie w duszy prawdę, o której pan najświęciej jesteś przekonany. Pan chciałbyś oszukać swoje sumienie i straciwszy mi do poziomu romantycznej gąski, umoralniającej młodzieńca w celu późniejszego węzła małżeńskiego, uczynić sobie rozstanie lżejszem i powszedniem.

Orzelski. Ależ panno Madziu..

Panna Madzia. Proszę mnie posłuchać, poznałam życie dotychczas z najpoważniejszej strony — walcząc o każdą piędź, o każdej godzinę. Jestem sierotą na łasce niezamożnych krewnych. Walczę o życie — i chcę abyś i Pan o mnie walczył. Szkoda by tylko była — i niebezpieczna szkoda, gdybyś się Pan zaraz u progu życia potknął O taki szkopuł rozbijają się nieraz najteżsi..

Orzelski. Wiem co mi pani dowie dalej:

Panna Madzia. Dobrze! A zatem pan mnie zna do głębi. Więc... chciałabym istotnie, aby się pan usu-

nał od spraw pozaszkolnych i aż do stanowczej godziny pozostał na uboczu, w rezezwie... Chciałam o to dawniej prosić... niestety nie było sposobności... teraz.. może i późno..

Orzelski Wie pani... najchętniej słucham rad, których mi nikt nie udziela.

Panna Madzia O! wiem! wiem! To mnie nie obraża. Ale niezna pan pobudek moich.

Orzelski. Być może. Teraz jednakże powiem pani o sobie...

Panna Madzia. Pozwoli pan — że go nawzajem wyreczę... w odpowiedzi...

Orzelski. (trochę zmieszany). Proszę...

Panna Madzia. Pan mi chce odpowiedzieć tak. Panno Madziu — ja panią bardzo cenię — i były nawet chwile, w których mi się zdawało, że naprawdę ulegam uczuciu., Ale.. proszę pani.. nad wszystkimi uczuciami, które we mnie są i które we mnie pozostać mogą — góruje zawsze uczucie wolności i siły. Większym skrupułem u progu życia jest od t. z. spraw pozaszkolnych... panna, dziewczyna, rówieśniczka.. Zrazu parę pożyczonych książek, nut.. potem wiersze, potem schadzka.. wspólnie dumania.. potem... — a wreszcie.. jarzino.. zwłaszcza jeżeli się jest szlachetnym — czyli człowiekiem, urodzonym do niewoli..

Orzelski (słuchając z coraz większym zdumieniem i przejęciem) Panno Madziu...

Panna Madzia. I zaraz pan doda. Panno Madziu — ja chcę być sam! Ja chcę być silnym... Ja nie chcę „Tracić życia olbrzyma dla miłości karła“!..

Orzelski. (w uniesieniu). Madziu!! (z refleksją).. Panno Madziu...

Panna Madzia. Powiedział mi pan w pierwszej chwili po imieniu —... Widzi Pan, panie Juliuszu.: Za jedno jeszcze tylko chcę Pana przeprosić! oto, że użyłam ostatniej strofy.. z wiersza pańskiego, który czytałam przypadkiem... „ Nie tracim życia olbrzymom dla... „

Orzelski. Dość!.. dość!.. Madziu... (całuje ją nagle w rękę),..

Panna Madzia. (wrywa dłoń — zmierza ku drzwiom)... Nie powoduj się Pan chwilą wzruszenia!.. Rozchodzim się.. ja tak chcę. I mówię z najgłębszej, z najczystszej przyjaźni... Idź przed siebie i stań tak wysoko, abyś mógł zapomnieć o mnie!. Pierwszy i ostatni raz przeto — po imieniu... (cicho). Bądź... zdrów... Julek... (wyszła. — Pauza).

Orzelski. Madziu! Madziu! (idzie ku drzwiom któremi wyszła).

SCENA II.

ORZELSKI — BLAS.

Blas. (wchodzi spotyka się w drzwiach z Orzelskim).

Jak się masz. Dobrze że Cię zostaje

Orzelski. Widziałeś — ją?

Blas. Tak — skłoniłem się — ale niezauważyła mię zupełnie. Szła prędko! Ale Słuchaj Julek — dobrze, że Cię zastaje.

Orzelski. (machinalnie) Siadaj, proszę.

Blas. Julek!

Orzelski. (milczy).

Blas. Julek!

Orzelski. (opanowawszy się). No, mój drogi — przynosisz co nowego — siadaj mój bracie, opowiadaj. Co w szkole?

Błas. Teraz zaczną się dochodzenia.

Orzelski. Och, jakbym chciał mówić — jakbym chciał być przesłuchanym. Słuchaj — wiesz... ognie biją mi na skronie, gdy pomyślę, jak małej trzeba podstawy, aby obdrzeć kogo ze czci i sławy. Pierwszy lepszy oszczerca z brzegu potrafi nas podkopać. Sobotniewicz wierzy na ślepo w donosy — a gdyby mu powiedziano o nas coś dobrego, byłby zmartwiony. Wiesz, jest to typ tchórza! Dlaczego on nie ma odwagi powiedzieć mi otwarcie. Słuchaj kochanku — nie lubię ciebie, nie znoszę ciebie — przenieś się dobrowolnie gdzie indziej.

Błas. Mój Julku, czy nie zdarzyło ci się czasem, mieć tak od pierwszego wrażenia jakiś wstręt do kogo... niewytłumaczony, nieuzasadniony — a potem to zwolna mijało...

Orzelski. Tak! Naprawdę! Nawet do takich później przywiązywałem się całym sercem. Blasku... (głaska go po głowie). I ciebie naprzykład, uważałem zrazu za galaretę bez wyrazu — dziś jesteś mi bratem..

Błas. No widzisz.

Orzelski. Dobrze. Ale wobec niesympatycznych nam trzeba umieć być neutralnym. Zwłaszcza pedagog! Nauczyciel psychologii! He?

Błas. Temperament ma dziwny.

Orzelski. W takim razie wybrał źle zawód.

Błas. Ale do rzeczy. Słuchaj, musisz obmyśleć obronę.

Orzelski. Nie rozumiem ciebie. Obronę mam krótką.

Obrażono mnie wobec całej klasy. Nie pozwolono mi się tłumaczyć. Wobec nauczyciela użyłem w odpowiedzi na to własnych jęgosłów z wykładu psychologii.

Błas. Słuchajże mnie. Nie oto tu idzie, Kilka

książek ze tak rzekę, przewrotowych dostało się w niepojęty mi sposób do rąk dyrektora. Jakkolwiek za samo zajście mógłbyś być łagodnie ukarany, gdybyś Sobotniewiczza przeprosił...

Orzelski. (gwałtownie). Nigdy!! przenigdy!!

Blas. Mój Julku!

Orzelski. Nigdy!! słyszysz! Nie mów mi o tem.

Blas. Posłuchaj cierpliwie... Dyrektor będzie wiedział z pewnością, że wśród nas powstało tajne stowarzyszenie -- które zbierało składki na zakupno książek i które według obranego programu prowadziło pracę samokształcenia... Jeżeli dojdą do organizacji dalszej, może być źle,

Orzelski. Tego pragnę! W ten czas im krzyknę z całej piersi! Nie my, nie my stwarzamy tajne stowarzyszenia, ale wy sami, wy którzy nie macie odwagi zobaczyć przepaści między tą biurokratyczną, pięciogodzinną nudą szkolną — a całym bujnym, spragnionem życiem młodzieży, na którą ze wszystkich stron spadają nowe, niepokojące zagadnienia, nakrywane konsekwentnie wstydliwym fartuszkim szkoły. Tak jest! Cóż z tego, że między wami coraz więcej ludzi światłych, uprzejmych, kochających nas i kochanych — kiedy na ustach naszych położone są wieczyste pieczęcia milczenia i lęku... Do kogo mamy się zwrócić?... Do kogo?... Do społeczeństwa?, Społeczeństwo jest zajęte polityką — a ciężar cały wychowania leży na fabrykach świadectw i na tych, którzy — choć rzetelnie chcą światła i siły — ale mają ręce ślicznie i klasycznie związane!!

Blas. Mój ty jedyny — gdyby wszyscy z nas byli, jako ty, to mimo wszystko byłoby dobrze. Prze-

cież jesteś wychowankiem tej szkoły — a jesteś dzielny, bystry, wykształcony...

Orzelski. To nie jest argument — To nie jest argument. Stoję przypadkiem na waszym czele i tyle.

Błas. A jednak — wszyscy przodownicy kładą głowę na słupek. Pamiętasz, powiedziałeś to sam, kiedyśmy zakładali czarną różę“.

Orzelski. (chwyając go za ramiona, patrząc nań bystro. Jaki „zakładali“? Błas!! Błas!! Ty się chcesz ze mną podzielić odpowiedzialnością! O! nie! Ja, ja sam jeden stworzyłem „czarną różę“. Ja sam odpowiadam!! (Przypominając sobie), Słuchaj!.. Zostawiłem ją ostatnim razem u ciebie! Oddaj mi ją!.. Oddaj zaraz! Jam jest jej strażnikiem!

Błas. (po chwili, bardzo zmięszany). Nie... mam... jej... Julku, przy sobie... przyniosę ci później... może jutro!

Orzelski. Nie!.. zaraz!.. chodźmy!..

Błas. Dobrze... Julek... pójdziemy po nią.. ale czekajże... jeszcze chciałem Ci o czymś mówić...

Orzelski. Mów... i chodźmy!..

Błas. Czy.. czy.. mówiąc to wszystko do mnie przed chwilą... pamiętałaś.. o... (urywa).

Orzelski. O kim!?!..

Błas. O matce swojej.

Orzelski. (biorąc głowę w dłoni)... Nie! nie!! nie pamiętałem... (chodząc szybko i mówiąc stłumionym głosem)... nie pamiętałem... nie pamiętałem... — (Pauza).

Orzelski. (biorąc Błasa za rękę). Nie mów jej nic, Ona jeszcze o niczym nie wie — (Pauza).

SCENA III.

IDA — BLAS — ORZELSKI — KIRKOR —
 KORZACKI — SOLITER — SZAMPALSKI —
 PANI ORZELSKA.

Ida. (miła, fertyczna, 15 letnia panienska, wchodzi z głębi). Aa! jak się pan ma, dawno nie widziany! (podaje rękę Blasowi).

Blas Dobrze proszę pani, naprawdę dobrze.

Ida. (do Orzelskiego, z tajemniczą miną). Wiesz Julek -- wróciłam sama do domu, bo mama miała jakiś sekretny sprawuneczek.. Nie wiesz ty przypadkiem, jaki? (rozbiera się).

Orzelski. Skąd-by?

Ida. A o tem, że jutro twoje urodziny.. wiesz?

Orzelski, Ah! zapomniałem.

Ida. Ale mama nie. Coś mi się za dużo oszczędzała w ostatnich czasach. Zobaczysz -- że nie wejdzie tędy -- tylko przez kuchnię -- i ukryje jakiś prezent na jutrzejszą niespodziankę.

Orzelski. Zapomniałem, no, zapomniałem. Byłbym jej zo wyperswadował.

Ida. Nicby nie pomogło, (do Blasa). Cóż tam w szkole?

Blas. Ot, jak w szkole.

(Wchodzą: Kirkor, Korzacki, Soliter, Szampalski. Witania i okrutne ukłony)

Ida. O ho! ho!.. Cóż to za świąteczny miny?

Korzacki. (wyelegantowany, w lakierach, białych rękawiczkach i wysokiej czapie). Idziemy proszę pani na premierę dzisiaj wieczorem.

Kirkor. Może byś Julek poszedł z nami. Zapraszamy. Wiesz -- to ci dobrze zrobi. Zapomnisz trochę o szkole..

Orzelski. (szybko). Nie, nie — dzisiaj nie mogę —
Dziękuję wam za pamięć.

Ida, I panowie zostańcie w domu! Dlaczegoż bo znowu
tak zapominać o szkole.

Korzacki. Eh! proszę pani!.. Człowiek ma tego potąd!
(dobywając srebrnej papierośnicy) Pani pozwoli za-
palić?

Ida. O, proszę! Ale czego to ma, pan dotąd?

Korzacki. Łaciny, greki...

Ida. I fizyki.

Korzacki. I fizyki.

Ida. I historyi.

Korzaeki. I historyi,

Iada I propedeutyki.

Korzacki. I propedeutyki.

Ida. Widać, że z tych wszystkich specjalności będzie
pan miał specjalną tróje.

Korzacki. Ee! Słowo daję!.. pani myśli, że jak się zo-
baczy studenta, to z nim tylko o szkole można
rozmawiać. Wie Pani, takie zapatrywanie jest co
najmniej, bardzo... nieprzyjemne

Soliter. Z właszcza po wyniku konferencyi...

Korzacki. Cicho, kwadratowa żabo.

Soliter. Dobrze, sześcienna pałko.

Kirkor. (do Idy). Proszę pani, to łatwo nabierać ko-
goś... ale gdyby pani wiedziała!.. Idę sobie naprzy-
kład wczoraj do szkoły... z boskim katzenjamrem...
Dzionek przesłiczny... spotkałem kilka znajomych
panien po drodze... Przychodzę do klasy w jak naj-
lepszem usposobieniu — i już zaraz na pierwszej
godzinie takem się zmaltretował i zirytował, że z bó-
lem głowy zabrałem się do domu! — To trudno!
Słowo daję! Trudno!. Słowo honorowe daję!

Szampalski. Czyjaż ta była godzina?

Kirkor. Sojki!

Ida. Czyja? czyja?..

Kirkor. Sojki, proszę pani.

Ida. Kto to?

Kirkor. Profesor fizyki.

Korzacki. Ślicznie się nazywa.

Kirkor. Jakby pani pozwoliła, to-bym wymienił jeszcze kilka innych nazwisk.. Niebywałe!

Ida. Proszę.

Kirkor. Profesorowie — Wypniaczek, Mularczyk, Sarenka, Ziemka, Miluś, Herkules... Ha? Co?..

Korzacki. Słowo daję honoru — cała historia naturalna i powszechna.

Ida. Panowie jesteście nad wyraz wdzięczna i sympatyczna młodzież.

Soliter. Niestusznie pani ich wyśmiewa. Chociaż w nauce są nowatorami, bo wszystkie najprostsze rzeczy są dla nich zawsze nowe — to przecież trzeba im jedno przyznać...

Kirkor. Eee! Słuchaj — kiedy umiesz tak dobrze gasić, idź na latarnika!

Soliter. Nie! — chciałem powiedzieć, że umiecie reprezentować szkołę na zewnątrz...

Korzacki. Jak to rozumiesz? „Szkoła na zewnątrz“?

Soliter. Umiecie się mundurować. Proszę państwa — bluzka sznurowana, podbita czerwoną materyą — jak u generała — czapa, jak komin fabryczny...

Blar. Soliterku, daj spokój, co ci to szkodzi.

Szampalski, (porywczo). A pewnie, dalibyście spokój. Wiecie że Orzelski ma biedą na głowie, a ci tu robią sobie baraszki...

Kirkor. Ee! nie bójcie się, chłop ma protegę u Beja!

Ida. (podeszła do brata). Julek. proszę Cię, co się stało?
Orzelski. Eee! nic!. Ida...

Szampalski. Ale to ja wam wszystkim powiem, że z tym panem, co donos zrobił, to ja się puszcze w dyrdy. Zobaczycie! Bo Orzelskiemu to nie pójdzie na sucho — ale tego „sasiada“ to ja już ugarinuję!..

Ida. Proszę ciebie Julek — mów co się stało?..

Soliter. Noo, nic... założył sobie tam jakieś tajemnicze towarzystwo i nie zaprosił Sobotniewicza — Ot! i całe nieszczęście. A że Sobotniewicz jest człek towarzyski — więc mu zrobił grube wyrzuty i zaproponował mu opuszczenie klasy. Julek zaś odstąpił mu ten zaszczyt i po wszystkim.

Pani Orzelska. (weszła z lewej podczas ostatnich słów Idy i Solitera. Szampalski kłania się jej. Kobieta starsza, czarno ubrana, siwiejąca. W najwyższym za niepokojeniu drżąca idzie szybko ku Orzelskiemu). Julek! Julek mój drogi — o czym tu mowa... ty najukochańszy...

Orzelski. Mamo!. (całuje ją kilkakroć po rękach)

Pani Orzelska. (patrzac mu w oczy z upartą trwogą)
Julek... ty nic nie mówisz... ty nic nie mówisz.
czemu ty nic nie mówisz?..

Orzejski. Zaraz mamu, zaraz. Tylko się nie martw...

Orzelska (patrzy nań, nie odwracając oczu. — Pauza).

Szampalski, (płógłosem do kolegów, którzy stoją skonsternowani i nie wiedzą, co zrobić ze sobą). Trzeba nam iść. Orzelskiemu przykro — za dużo jest świadków..

Kirkor. Ja... całuję rączki... (kłania się kilkakroć).

Korzacki. Całuję rączki... (kłania się głąboko z wyszukaną maniera)

Soliter. (wymyka się chyłkiem! Wychodzą wszyscy trzej prawie równocześnie, cisnąc się w drzwiach).
 Szampalski. (zbliżając się do pani Orzelskiej, która zdaje się niczego nie widzieć) Pani Dobrodziejko — Julek jest zanadto dobrym uczniem — to jest nasza chluba. Jemu nie zrobią krzywdy. Niechaj pani Dobrodziejka będzie całkiem spokojną. A co do tego sąsiada — to on już pójdzie na mój rachunek... pro publico bono (Całuje ją w rękę).
 Serwus Blas! Serwus Orzelski! Całuję rączki — (wychodzi).

SCENA IV.

PANI ORZELSKA — ORZELSKI — IDA —
 BLAS — TERCYAN.

Orzelski. Niechże mama trochę ochłonie... Wszystko opowiem i nic nie zataję.

Pani Orzelska. Julku — a widzisz, gdybym była nie weszła i nie posłyszała — byłbyś może chciał mnie oszczędzić i nie byłbyś powiedział.

Orzelski. O! nie mam! Nie!

Ida. Ten wasz kolega Soliter — to niedobry.

Orzelski. To nic. Wszyscy się na coś przydadzą. I on także. Kto wie, może byłbym zwlekał — a tak zaraz wam powiem. Miałem... miałem zajście w klasie z profesorem Sobotniewiczem — on obraził mnie, ja potem jego. Sobotniewicz wyszedł z klasy.

Pani Orzelska. Jezus Marja! Ale nie, nie! Julku, nie myśl, że Ci chcę robić wyrzuty. O co poszło?

Orzelski. Doniesiono mu coś o stowarzyszeniu młodzieży „Czarna róża“... obrał sobie mnie za cel pocisków i tak w toku lekcji przyszło między nami do awantury.

Pani Orzelska. Ale... ale ty nie należysz do tego stowarzyszenia? — (Pauza).

Pani Orzelska. Mów, mów proszę wszystko.

Orzelski. Należę.

Pani Orzelska. Ach... Czekaaj, czekaaj... Pozwól Julku — ja idę zaraz do pana Sobotniewicza — ja go za ciebie poproszę — ja go ubłagam.

Orzelski. Nie! Nie!! Mammo! Żądaj odemnie wszystkiego, ale tego nie zrobisz...

Pani Orzelska. (po chwili). Juliusz mój... idź do niego i przeproś go... (długa pauza).

Orzelski. (z mocą). Pójdę mammo! Zrobię wszystko co zechcesz — zrobię z roskoszą.

Pani Orzelska. (całując go w czoło). Dziękuję Ci... Ty wiesz, jesteś mojem słońcem, gwiazdą mego życia... Po śmierci Ojca, stałeś mi się wszystkim. Tak pięknie wszystko Ci się układało... Tobie wróżą przyszłość, o jakiej ja matka, zaledwie marzyłam śmiem... (całuje go)..

Ida. Julku — ale jak się dowiedzą, że należysz do tego stowarzyszenia...

Orzelski. Nie tylko należę, ale ja sam..

Błas. (szybko). To nic, że należysz. — Sam jeden nie należysz... Zresztą, kto wie, czy oni wogóle będą mogli udowodnić, że „czarna róża“ istnieje..

Pani Orzelska. (zauważyła, że Błas przerwał wyznanie Julkowi i zasępiła się nieznacznie).

Orzelski. Wiesz przecież, że dyrekcji o tem doniesiono najwyraźniej.

Pani Orzelska. Dziecko moje jedyne... Nie gniewam się na ciebie, że należysz... przekonana jestem, że jeśliś ty tam należał, jeśliś ty nawet był jego duszą, to stowarzyszenie było piękne i dobre.. A gdy-

byś nawet utracić miał stypendyum — gdybyś utracił lekcyę — gdybyśmy nawet musieli się ograniczyć jak najdalej — Synu mój... chcę widzieć tylko jeszcze, żeś dopłynął do brzegu — boim ufna w ciebie i ślepan... (Pukanie głośne i trzykotne).

Orzelski. Proszę wejść

Tercyan Harmata. (dobrze odżywiony, pewny siebie pan w mundurze; złoty łańcuszek, złote pierścienie — cwikier w złotej oprawie, który co chwila zdejmuje i z pompą na nos nasadza. Wchodzi urzędowo). Dobrywieczór! Przyszedłem w imieniu Dyrekcji wezwać ucznia Juliusza Orzelskiego do kancelaryi pana Dyrektora, do pretokołu, w tej chwili. Stantem pedem! — (Pauza).

Orzelski. Dobrze. Zaraz tam będę.

Tercyan. Padam do nóg. Moje uszanowanie. (wyszedł).

Orzelski. A zatem w drogę. Mamo bądź spokojna. Zrobię, com przyrzekł. (całuje ją kilkakroć w ręce odprowadza ją ku kanapie i sadza. Żegna się z Idą. Do Blas). Dowidzenia, mój ty! (wychodząc), Zostań przy nich.

Pani Orzelska (która od wejścia tercyana, stała zupełnie nieruchoma i osłupiała, naraz). Nie, nie! nie! Ja tam także idę za Julkiem. Zawsze to będzie lepiej. Ale tak pójdę, aby mnie nie zobaczył..

Blas. Pani Dobrodziejko... proszę się nie martwić i nie niepokoić. Julek przeprosi pana Sobotniewicza — on zmięknie i skończy się na naganie. A co do tego stowarzyszenia — to odpowiedzialnym może być najbardziej tylko jego założyciel i zwierzchnik. *Ja jestem założycielem „Czarnej róży“* — ja mam ją oto w ręku — (dobywa czarną różę

z za bluzki).. Szczęśliwym i dumym, że ją mam!!
I właśnie dobrze że sobie o niej przypomniałem —
biegnę, aby być jeszcze przed Julkiem w kancelaryi!

Panni Orzelska. (patrzyła nań zrazu, jakby wierząc w jego słowa — potem rozrzewnia się i podniósłszy chustkę do oczu, płacze).

Błas. (wybiega).

Ida. Mamusiu, mamusiu... chodźmy tam za nimi (zbierają się).

KURTYNA.

Akt IV.

Wielka prostokątna sala Konferencyjna — jedno wejście w głębi — dwa po obu stronach, symetrycz-
rozmessezone. Pośrodku sali długi stół w podkowę
Na nim karafka, dwie szklanki — kilka kałamarzy —
rączki — popielniczki. Wzdłuż ścian szafki z książ-
kami. Na szafkach globus, paczki zeszytów. Na ścia-
nach lustro, mapy, kalendarz, termometer — podział
godzin — portret cesarza. W kącie umywalnia. W jed-
nym rogu sali kanapka ceratowa, dwa fotele.

SCENA I.

HARMATA, teryan -- ŚLISZ, pomocnik terya-
na -- HIC MULIER — SĄSIAD PRZECHODNI —
MULARCZYK, nauczyciel — MILUŚ, nauczyciel —
ŻAŁSKI, nauczyciel — SOJKA, nauczyciel — FER-
TYCZNA PANI — PRACZKA — BEJ — ROZ-
TRUCHAŃSKI — PANI ORZELSKA — SOBOT-
NIEWICZ.

(Harmata komenderuje pomocnikami, który kończy
zaścielać stoły zielonem suknem — przy stole za
kilku paczkami siedzi nauczyciel Mularczyk, popra-
wiając zeszyty).

Harmata. (do pomocnika, idąc za nim krok w krok).

Ta nie tak! ta nie tak! Nawet sukna nie umiesz

z proporcją położyć. A ruszaj się! no! (kładzie czapkę mundurową na krześle).

Ślisz, (chuderlawy, urorusamy sługus). Żłem położył — ta niby wedle czego żłem położył? Ja tu jeszcze był — zanim pan tercyan nastał — to ja tam już wiem jak..

Harmata. Ty tu niemasz do nauczania. tylko do słuchania. Widzisz go! Profesor!.. Ta jak ściesz, ta jak!..

Ślisz. Akuratnie, jak trza! Może mam przykleić, aby się trzymało?

Harmata. Cicho pachółku gamoński!.. A wodyś do karawy świeżej dał?

Ślisz. Juści..

Harmata. Dosyć! Szuruj na dół — do mnie — spytaj się pani, czy jej czego nie trza przynieść..

Ślisz. (z przekorą). A i no!.. lecę, co mam sił.. biegnę.. (idzie sobie flegmatycznie).. do wielmożny pani tercyanki!..

Harmata (za nim). Panie Ślisz, panie Ślisz — czy pan żyjesz, czy pan spisz?! (cięszy się z konceptu).
Ha, ha, ha!..

Ślisz. (splunął i wyszedł na prawo).

(Drzwiami w głębi wchodzi hic mulier).

Hic mulier. (rzeżka gruba, kobiecina, wykoczkodaniona kolorowo, kłania się tercyanowi z najmiłym uśmiechem na świecącej twarzy).

Harmata. Czego tam?

Hic mulier. Wedle wiadomości.

Harmata. Dzisiaj niema konferencji dla publiczności.. Dzisiaj będzie konferencya karna..

Hic mulier. (szerokim głosem) To chwęła panu. Zejdom się wszystkie. Będzie można przydybać i po-

- gadać. Bo ja do Sojki,
 Mularczyk. (spojrzał po przez paczki zeszytów, kto mówi).
- Harmata. Do pana profesora Sojki.
- Hic mulier. A pewnie, że mu się to patrzy! Pan ta lepiej wil.
- Harmata. Nic z tego — Dziś niema poco — wczoraj było poco (przechadza się pompatycznie, założywszy ręce w tył i otwierając łoż).
- Hic mulier. (dając mu pieniądze). Na panu. Bo ja się muszę z nauczycielem widzieć — dokoniecznie!
- Harmata, (udobrochany — z namaszczeniem, ale ciszzej, tak aby profesor Mularczyk nie słyszał).
 A w której to też klasie ten, wasz?
- Hic mulier. W trzeciej, ajakże.
- Harmata, Ja tam nie uczę — ale da się widzieć.
- Hic mulier. Szkoda że pan nie uczy.
- Harmata. Szkoda — ale będzie, będzie! Już ja profesorowi Sojce powiem, jak tylko przyjdzie. Proszę tylko tutaj poczekać.
- Mularczyk. wstaje prostuje krzyże jest to mizerny, młody człowiek, skromnie odziany) Oa! oaaa!.. Panie Harmata — daleko do konferencji?
- Harmata. (podchodząc doń i pakazując mu godzinę na dwu zegarkach). Za pół godziny panie profesorze.
- Mularczyk Jeszcze z tysiąc byków poprawię!.. Aaa!.. aaa!.. (siada napowrót).
- Harmata. (spojrzał na jego postać z politowaniem i zabiera się do odejścia. We drzwiach z lewej spotyka nauczyciela Milusia). Sługa pana p'sora. Pan p'sor będzie łaskaw przejrzeć protokoły (wychodzi).
- Milus (młody człowiek z rudym wąsem i hiszpanką,

łysawy, ubrany ekscentrycznie — rusza się z ogromną nonszalancją) Pha! pha!. (dobywa papierosa, zapala). Dziękuję — już miałem tę przyjemność. (mówi szybko, nerwowo i połyka sylaby, tak że trudno go zrozumieć. Do Mularczyka). Zamiast przejść się na spacer, albo pogawędzić w domu z kimś przyjemnym, leć na dyscyplinarkę. Eee! tego... tam... Orzelskiego trzeba wypędzić.

Mularczyk, (nie odwracając głowy od zeszytów) Czego? czego?.. bo niezrozumiałem pana... „wypędzić“?.. Dlaczegoż — to?

Milusiński. To łatwo przewidzieć, co z takiego pana będzie kiedyś za pociecha. Fora z dwora!

Mularczyk. Czego? — czego?.. bo się nie mogłem połapać...

Milusiński. Gdzieś każdemu trzeba kilka razy do ucha kłaść. Orzelskiego, mówię — fora z dwora!..

Mularczyk. A zna go pan osobiście?

Milusiński. Na szczęście nie mam tego zaszczytu. Ale protokoły rzucają śliczne światełko na tę figurę.

Mularczyk. To pan zna protokoły... (z ironią). Aa! pewnie!.. że to dużo!.. powtóre musi pan przyjść na dyscyplinarkę, zamiast posiedzieć w domeczku... to jeszcze więcej... Aa! Pewnie!.. Wobec tego trzeba Orzelskiego wykurzyć,

Milusiński. (spojrzał nań z grymasem i dobył gazetę — czyta).

Sąsiad przechodni. (wchodzi głównym wejściem, z obandażowaną i podwiniętą głową). Przepraszam... bardzo przepraszam... czy jest pan Sobotniewicz?

Milusiński. (odwracając głowę i patrząc nań z niesmakiem). Tam w drugim pokoju... (czyta dalej).

Sąsiad. Przepraszam... bardzo przepraszam.., (wychodzi na lewo).

Milus. Ładny pasazer! — (Pauza).

Hic mulier. Oj jej! Stoję i stoję — a pana Sojki jak nima, tak nima.

Mularczyk. A czemuż pani nie usiądzi. Proszę panią nsiąść tymczasem. Zaraz pewnie nadejdzie.

Hic mulier. Ja wolę postać. Może prędzej nadejdzie.

Mularczyk. A może, (poprawia dalej, po chwili do Milusia). Panie kolego — jak się pisze młodzież na końcu, z z kropką, czy rz, czy sz... bo już teraz tam niewiem. (wstaje nagle), Dziewięćset takich pasztetów na miesiąc!.. We łbie mi się mroczy... chyba pójść pod wodociąg...

Sojka. (młody nauczyciel, cienki, z bródką w szpic; często zacina dyszkantem. Wchodzi), Jak się macie panowie?

Mularczyk. Właśnie pani czeka.

Sojka. A proszę, proszę! Ktoż to taki?

Hic mulier. (dygając), Jestem Zajęcowa.. szewcowa... wczoraj nie mogłam przyjść...

Sojka! No, no,, w której klasie?..

Hic mulier. W trzeciej.

Sojka. (popatrzywszy w notes). Hebes, lampart. Weź go pani do domu. Z tej mączki chlebusia nie będzie.

Hic mulier. Rany — czego ja słucham.. Taze on tak kuje. Ani się go do posyłek nie używa. Ciagle w tej grece, w tej alfebrze .. w tej.. w tych urystach..

Sojka. Co mnie tam urysty! Ja od matamatyki — „alfebry“...

Hic mulier. To jeden dyabeł! Dość, ze się uczy --

ze dom chodzi.

Sojka. Zaprządz go do pociągła. Cóż to, każdy musi być uczony?.. Zadużo jest mądrych ludzi. Niema komu wziąć się do rzemiosła!

Hic mulier. (zblizając się w toku mowy coraz bliżej do niego, tak że Sojka musi rejterować). Tamy chcieli, zeby choć on jeden, z całej familji miał lepiej.. wyszedł na co... odmawiamy sobie... Bóg widzi.. pani nauczycielu...

Sojka. Cóż ja poradzę?!

Hic mulier. Niech go pan pyta w tym tygodniu. Pan się przekona!

Sojka. Ej jużem się przekonał! (rejteruje).

Hic mullier. (nacierając). Panie nauczycielu.. My się ściągamy z ostatniego... On poprawi.. Panie nauczycielu..

Sojka. (dyszkantem). Proszę pani! proszę pani!..

Hic mulier. Panie nauczycielu — jak Boga kocham., trzeba mieć miękkosć w zrozumiałości dla wszystkiego..

Sojka. (już pod samą ścianą). Ależ proszę pani! ależ proszę pani!.. Co pani robił.

Hic mulier. Litości, panie nauczycielu. Taże u nas w domu dziewięcioro!!

Sojka. (dyszkantem). Ja temu nic nie winien! Ja temu nic nie winien!! Oo, no!.. ale będę już pytał! będę! Niech się przygotuje.. (uciekł od niej i odsapuje).

Hic mulier. Aj — tak trzeba było od razu. Panie Boże zapłać. (siąka nos, kłania się — wychodzi zasapana). No, ale jakby tego tygodnia nie odpowiedział, to ja mu dam alfybrę!! (wyszła).

Mularczyk. Dzielna majstrowa! Co?!

Sojka Aa! dajcie spokój!.. Oto przyjemności! (siada, odpoczywa).

(Z krawej strony wchodzi nauczyciel Żalski. Równocześnie drzwiami w głębi wchodzi: Praczka).

Żalski. (mały, czerwony na twarzy, z siwą brodą strzyżoną, o małych przenikliwych oczach). Obecni kłaniają mu się.

Żalski. (protekcjonalnie) Dzieńdobry!

Praczka Całuję rączki. Ja właśnie do pana dobrodzieja względem obu chłopaków.

Żalski. A wiem! wiem! ananasy!.. (patrzac w notes).

Hoho! hoho! Jeden osioł, drugi osioł! Oba osły!..

Praczka. (błagalnie). Chryste panie!

Żalski, (odwracając się). Proszę was! Szkoda czasu i atłasu! Skończyłem! (wychodzi).

Praczka. (płacze cicho).

Malarczyk. (zbliżając się do niej). Nie martwcie się i nie płaczcie. Zrobi się! zrobi się! Idźcie spokojnie do domu.

Praczka. Bóg zapłać za dobre słowo. (wychodzi).

Mularczyk. (przeciągając się — i ziewając zrobił parę kroków — spostrzegł czapkę tercyana — ogląda ją — kładzie ją lekko na głowę — patrzy do lustra).

Milus. Chciałby pan być tercyanem — prawda!

Mularczyk. (westchnął żałośnie, odłożył czapkę).

Sojka. Jak Boga kocham, że jak jeszcze kto przyjdzie — odmówię informacji. Wczoraj mieli czas na to — człowiek niemoże mieć spokoju — na ulicy — koło gmachu — na schodach — na kurytarzu. —

Mularczyk. Eee! mówi pan jak urzędnik jaki — a tymczasu jesteś pan nauczycielem — masz misyę

społeczną i musisz się uspołecznić...

Sojka. Padam do nóg!

Bej. (wchodząc do Mularczyka). No, cóż zrobimy dziś z Orzelskim?

Mularczyk. Nie damy go.

Bej. Spodziewam się.

(Z przeciwnej strony wchodzi).

Roztruchański. (starszy mężczyzna. o jowalnej twarzy — mówi wolno, wyraźnie i ciężko, tak jakby każde słowo chciał z osobną siekierą wyrąbać).

Dzieńdobry — o kim mowa, o kim mowa?

Bej, Mularczyk. O Orzelskim.

Roztruchański. Cóż to za jeden. Może znowu nowy kolega jaki. Coraz więcej tych młodych nasyłają!

Mularczyk. Aa — to jest jeden z najmłodszych — uczeń ostatniego kursu.

Roztruchański. A — a! — co to z Sobotniewiczem?..

Mularczyk. (trochę go naśladując). „Co to z Sobotniewiczem“

Roztruchański (spojrzał nań koso).

Bej. Jakże pan kolega będzie głosował?

Roztruchański. Tak jak wszyscy. Ja tam panie w ogólnej zgodzie dziury nie robię. Jak wszyscy! Za większość! (Zmierza wolno ku kanapie).

Milusz. (który, oderwawszy oczy od gazety, przysłuchiwał się rozmawiającym). Ma pan profesor świętą rację.

Roztruchański. (oryentując się, skąd głos pochodzi i kto mówi. Odwraca się i staje). Co pan tam powiadasz? Powtórz pan, bo nierozumiem.

Milusz. (wstaje kłaniając się mówi skacząc niezrozumiale ze słowa na słowo). A ja właśnie odezwałem się w tym samym duchu, co pan profesor. Grono

będzie z całą pewnością za ekskluzyą Orzelskiego. Roztruchański. Po jakimu wy młodzi panowie mówicie — przecież was i święcony dyabeł nie rozumiałby. Ta to panie są połykacze końcówek, boa - dusiciele języka ojczystego. I oni uczą drugich... panie... Wiesz pan — jedno słowo zrozumiałem — i to było cudzoziemskie: ekskluzya

Mularczyk. (podechwytnjąc). A zatem pan profesor nie będzie za żadną ekskluzyą?

Roztruchański. Za „ekskluzyą“ — nie! o! nie!! panie.

Mularczyk. Serdecznie dziękujemy panu profesorowi — bo to porządny chłopak. Wart tego.

Miluś. (do Roztruchańskiego, szybko, połykając końcówki). Ależ pan profesor mnie nie zrozumiał... powiedziałem przed chwilą... właśnie w myśl pana kolegi...

Roztruchański, Ee! co tam kolegi, nie kolegi!.. Daj mi pan pokój... (odchodzi ku kanapie, kiwając ręką). Wieża Babelska, panie.. (siada, czyści szkła, zawdziewa i siedzi nieruchomy jak figura Usiadłszy) Panie — a umie pan wymawiać ł? Powiedz pan „ławka“.

Miluś. Uawka.

Fertyczna pani. (drzwiami w głębi wpada, popychając synka, studencika przed sobą, rozgląda się po sali), Aa... dobrze że panów zastaje. (do Beja), Jakże tam, panie profesorze ten malec?

Bej. (który zoczywszy ją, chciał uciec przez drzwi). Nooo... prawdę mówiąc, na razie... kiepsko.

F. pani. Eee.. pan profesor zartuje. (leci do Mularczyka). A u pana profesora?

Mularczyk. On się bardzo pomało rozwija — słabeusz.

F. pani. Jakoś to będzie! Dziękuję bardzo! (leci dalej popychając malca. Do Sojki). Dzień dobry — o!.. ten malec,.. jakże tam panie profesorze?

Sojka. Nnnoo... mogło-być lepiej..

F. pani. Zatem dobrze. Dziękuję! (leci do Milusia). Proszę pana, ten chłopczyk, ta nasza pociecha,.. jakże tam! Dobrze? prawda?

Milusz. (całkiem niewyraźnie). O! proszę pani — jest zupełnie przeciwnie — niestety — jeżeli tak dalej pójdzie — to może być bardzo a bardzo nie — dobrze.. (bardzondobrze).

F. pani. (uradowana). Ach dziękują... serdecznie dziękuję. „Bardzo dobrze“ — tegom się nawet nie spodziewała. (z afekcją). Mój malec najlepiej pana profesora lubi — opowiada cuda o panu... tak pan profesor znakomicie... tego.. (zabierając się do wejścia). Noo... Boluś ukłonił się. Dowidzenia panowie — dowidzenia!.. Uprzejmie dziękuję!! (wybiega).

Milusz. (chciał jej coś tłumaczyć, przedstawiać — idzie za nią ale Fertyczna pani wyleciała.).

Roztruchański. (wstał z miejsca i rozwarł bezradnie ramiona. — Pauza).

(Po chwili zaczyna się kilku śmiać).

Roztruchański. O! a! A widzisz pan! Tak pan gadasz, że baba zrozumiała zupełnie coś przeciwnego.. To nie jest mówienie! to jest panie mowa zaraza... dopust Boży!.. Wieża babelska!

Sobotniewicz. (wchodzi impetycznie, na przywitanie kolegów odpowiada skinieniem głowy — zasiada przy stole i kreśli coś w papierach, które dobył. Po chwili wchodzi za nim, z przeległego pokoju).

Pani Orzelska. (czarno ubrana, widocznie bardzo zmartwiona, nieśmiało do Sobotniewicz). Niech mi

pan profesor daruje, że jeszcze nie odeszłam i że jeszcze śmiem go trudzić.

Sobotniewicz. (wstając). Powiedziałem pani i jeszcze raz to samo powtórzę, że ja już w tej sprawie nie mam nic do zrobienia. Wszystko zależy od konferencyi, od tego, jaką opinię poweźmie grono na podstawie dochodzenia i protokołów... (siada, prawie nie zwracając uwagi na nią).

Pani Orzelska. To mnie, matki, nie może pocieszyć. On jest całym mojem życiem. To nieszczęście spadło na mnie tak nagle. Jestem chora. A przecież ile był w stanie, dał Julek panu profesorowi zadosyćuczynienie...

Sobotniewicz. To wszystko prawda — niemniej jednak i to prawda, że tu konferencya zdecyduje.

Pani Orzelska. Czy... czy... pan profesor ma dzieci?

Sobotniewicz. (odwróciwszy się ku niej, wolno). Mam.

Pani Orzelska. Niech pan profesor pamięta, że ma dzieci., niech pan pamięta.. (wychodzi).

Sobotniewicz (za nią). Nie jestem tak twardy, jak się wydaję.

Mularczyk. (wychodzi zaraz za nią).

Harmata (wchodzi, niosąc papiery; kładzie je przed głównem siedzeniu pośrodku stoła). Pan Dyrektor zaraz idzie — a tu jeszcze prawie niema nikogo. (kiwa głową, wychodzi).

SCENA II.

Poprzedni — oraz WYPNIĄCZEK — SARENKA — HERKULES — ROZTRUCHANSKI — MULARCZYK — dyrektor SULICKI — oraz kilku nauczycieli — BLAS — ORZELSKI.

Wchodzą: Wypniaczek — Sarenka — Herkules —

Roztruchański. Witają się z obecnymi bądź skinieniem głowy, bądź podaniem ręki. Niektórzy zasiadają już koło stołów. Wchodzi następnie Mularczyk, Żalski i kilku jeszcze nauczycieli — witają się, zasiadają).

Harmata. (wsadza głowę przez drzwi i mówi tajemniczo:) Pan dyrektor! (znika).

Roztruchański. (wstając z kanapy). Panowie tylko nie nudźcie — aby jak najprędzej!.

Sulicki, dyrektor. (człek słuszny, chudy o dużym nosie i wąsach spadających na usta — czupra w „język“ — wyraz twarzy trochę ascetyczny. Mówiąc, lubi od czasu uderzać w ręce i patrzy trwożliwie na interlokutorów poprzez okulary, wsunięte na koniec nosa. Wchodzi wśród ogólnej ciszy, przerywanej tylko odsuwaniem krzesł przez profesorów wstających na jego przywitanie. Obok Dyrektora siedzi nauczyciel Wypniaczek, prowadzący pióro).

Roztruchański. (nie zauważył jego wejścia), A gdzie ten dyrektor? (Głosy), Już, jest! już, jest!

Sulicki. (spojrzawszy po obecnych). Zebrali my się tu, aby dać głos z sprawie smutnego zajście między panem profesorem Sobotnictwem a uczniem Orzelskim. Aha... z nieobecnych, zawiadomił mnie ksiądz Katecheta — że jest przeszkodzony. (do profesora Wypniaczka). Pan Profesor Kwiryn Wypniaczek przedstawi pokrótce ono zajście na podstawie protokołów.

Wypniaczek (zażywny pan, w ruchach i mowie nader afektowany — brwi krzaczyste — wąsy olbrzymie, z których jeden ostro zakończony w górę drugi obwisły. Wstaje). Proszę szanownych panów... zajście rzucające ciekawe światelko na dyscyplinę

w ostatniej klasie naszego zakładu — jest wedle protokołów następujące... Proszę panów: dnia.. miesiąca... roku... godziny... przybył na lekcję pan profesor Sobotniewicz właśnie po krótkiej informacji z pewną osobistością, która doniosła, że na stancyi, u pani Wesołowskiej zbierają się studenci w aspiracjach przewrotowych. Panowie! Jak się to stowarzyszenie nazywa. Panowie nie wiedzą. Slicznie się nazywa: *Czarna róża*. (Szmer — zaciekawienie.)

Roztruchański. *Róża, róża!* panie — a nie róża!

Wypniaczek. A czego ta czarna róża chce?.. Chce oświecać... He... A co? — oto oświecać umysły zaciemnione przez profesorów i ich nauki... (kilku starszych profesorów śmieje się ironicznie).

Żalski. Proszę! może-bym się ja do tej szkoły zapisał?!

Wypniaczek. Notabene... zebrania te mają swoją biblioteczkę!..

Milus. Ładne tam muszą być kwiatki..

Wypniaczek. Kiedy się wszyscy uczestnicy dosyć nakształcą — kończy się zebranie poza domem... w mrokach wieczoru... A kto zacz jest wielkim mistrzem onego zakonu?

Sojka. Łatwo się domyśleć.

Wypniaczek. Nieodpowiadam przeto, że wbrew twierdzeniu Blasa jest nim pan Orzelski. (Poruszenie). Z tego oświecania korzystać mogą i inni.. sąsiedzi.. Mieszkała zaś tam u pani Wesołowskiej... pewna... panna Madzia. (Ogólne zaciekawienie).

Roztruchański. (wstaje z kanapy i zbliża się ku mówiącemu z wielkim zainteresowaniem). Aha! dziewczka! panna! pewnie! młoda.. no — i co?..

Sulicki. (podnosi się zaaferowany tajemniczo). Trzeba popatrzeć czy kto nie podsłuchuje... Czasem może

się uczeń jaki zapłatać. (wstaje, idzie do drzwi, skradając się, poczem odmyka z impetem, patrzy).
Niema nikogo. (wraca na miejsca).

Roztruchański. (z lubością). No i cóż ta panienczka — ta Madzi?..

Wypniaczek. Tego się jeszcze dokładnie nie wie ale to pewne, że Orzelski się z nią znał..

Roztruchański. Znał.. znał.. no i co?..

Wypniaczek. Tego się jeszcze dokładnie nie wie..

Roztruchański. (rozczarowany). Eee!.. — to nie są dokładne dochodzenia. Ja myślałem, że tu coś się zacznie de grubis! (idzie na sofę — gdzie siedzi jak figura — i od czasu do czasu przysypia).

Wypniaczek. Otóż zasięgnąwszy takich wiadomości, poszedł pan profesor Sobotniewicz na lekcję — między innymi wywołał do odpowiedzi.. Orzelskiego, który mu się zaraz uklonił z wyzywającą grzecznością. No.. i w czasie tej odpowiedzi zaszała ta zuchwała, krnąbrność.. której detajla —

Roztruchański. (rozpaczliwie). Detajla! Nie! Mnie szlag trafi!

Wypniaczek. Znane są panom z protokołu. Uczeń ten wyraził się.. że pan profesor Sobotniewicz ma osłabienie w głowie.

Mularczyk. A pan profesor Sobotniewicz wyraził się jak?..

Wypniaczek. No jak.. naturalnie, że „smarkaczu“... „owco trędowata“,.. a naturalnie!..

Mularczyk. Tylko kiedy — przedtem czy potem?

Wypniaczek. Tego sobie z protokołu nie przypominam — zresztą to wszystko jedno.. krnąbrność zostaje krnąbrnością, zuchwałość zuchwałością, bezszczelność bezszczelnością!. (siada).

Sulicki. Otwieram dyskusję.

Żalski. Proszę o głos.

Bej. I ja!

Mylarczyk. I ja!

Sojka. I ja!

Sarenka. I ja!

Herkules. I ja!

Harmata. (wnosi poduszkę ceratową dla dyrektora)

Przepraszam, alem sobie zapomniał! (kładzie ją na krześle, wychodzi).

Sulicki. Zaraz, tylko zanotuję porządek. (pisze). Proszę — pan Żalski.

Żalski. (wstaje). Panowie — sprawa tego zajścia nie jest dzisiaj niestety odosobniona. Ma ona też i znaczenie zasadnicze. Proszę panów! Młodzież jest bardzo często niegrzeczną, zarozumiałą i zuchwałą. Karność się rozluźnia.. Przypatrzmy się panowie... już pędraki w niższych klasach mają miny poruczników, w wyższych pułkowników i generałów. Wszyscy ci oficerowie wyżsi i niżsi palą papierosy gdzie się tylko obrócić.. na ulicy, w kawiarni, w cukierni, ba.. i w gmachu szkolnym. Proszę panów — do pomieszkań uczniowskich można-by posyłać na wędzenie szynki, ozory i kiełbasy! (Niektórzy śmieją się — niektórzy przytakują). Panowie — toleruje to publiczność, tolerują to właściciele lokalów publicznych. Na nich spada wina. Nie dziw, że uczniowie, którym społeczeństwo na każdym kroku ułatwia dojrzałość — uważają szkoły, jako fabrykę promocyj i świadectw — a profesorów jako właścicieli notesów z cenzurami — Fakty lekceważenia władzy szkolnej są coraz częstsze i jaskrawsze — gdybym ja tak miał głos w sferach decydujących,

zarazbym dał, temu rady. Oho! I mnie próbowali uczniowie lekceważyć, ale się przekonali, że to trudna sprawa. Jam mały jest! ale czupurny. Skończyłem! (siada).

Sulicki. Pan Profesor Bej.

Bej (wstaje). Panowie.

Wypniaczek. (wstając). Aj! aj! zapomniałem. Panie dyrektorze, w kwestyi formalnej.

Sulicki. Proszę!

Wypniaczek. (do Beja). Tylko chwileczkę! Osobistość, która konferowała z panem profesorem Sobotnikiem, była tu dziś z rozbitą głową. Twierdzi ona, że uczniowie podejrzewając go o porozumiewanie się z władzą szkolną — nastawili nań w nocy, kiedy wracał do domu — na schodach — sznurkiem na którym się wywrócił i szkaradnie protłukł.

Głosy Ho! ho! ho!.

Wypniaczek. Tyle. (siada).

Bej. Panowie, chcę dotknąć bardzo ważnej sprawy. sądów i wyroków szkoły. My nie sędzimy uczniów, ludzi — tylko sędzimy protokoły — arkusze papieru. Proszę — powiedźcie mi, panowie, czy jest to słuszne, że sędziowie wydają wyroki na oskarżonych, których nie widzieli, których nie znają — o których nie mogą sobie osobiście zdać żadnej sprawy?! Na konferencyi przedkładają nam protokoły — my rozważamy casus i wyrokujemy. Ale gdzie jest człowiek, stojący poza tym casusem — gdzie jego dusza, charakter — okoliczności towarzyszące — wrażenie, jakie jego osobistość wywołuje na drugich? Otóż, ponieważ większa część panów kolegów niezna Orzelskiego — przeto uważam za konieczność i rzecz sumienia opisać go

panom tak, jak jak go poznałem i jakby tu przed nami stał. Proszę panów — chłopak ujmującej powierchowności, ułożony, miły, uczynny, głowa pierwszorzędną i bystra — lumen w klasie, wyrastający ponad głowy wszystkim — nazwany przed klasą „trędowatą owcą“ na podstawie bardzo problematycznych doniesień — zdobywa się tylko na ironiczne zastasowanie słów wykładu psychologicznego — do profesora psychologii. Panowie, jeżeli takich jedynostek szłoda nie umie przywiązać do siebie i rozwojem ich serdecznie się interesować — w takim razie nie dziwny się, że coraz więcej widzimy albo poprawnych zer, albo idiotów z sznurówką w pasie i z sznurówką nas mózgu! (siada).

Sulicki. (kiwa głową — po chwili). Nno... a pan Mularczyk.

Mularczyk. „Pan Mularczyk“ zacznie sobie znowu takim kształtem. Sprawa „czarnej róży“ i jej biblioteki jest to, o ile mnie słuchy doszły i o ile to wiem z ust samych uczestników, sprawa małego kółka samokształcenia się, gdzie się rozmawia o takich przewrotach. jak: historia sztuki, historia muzyki, historia kształtowania się społeczeństw — nauka higieny — nauka języków nowoczesnych itd. Jakkolwiek co do rozluźnienia się dyscypliny i braku taktu u młodzieży, jestem co kolwiek po stronie pana Zalskiego — to jednak nie widzę w owej „czarnej róży“ powodów i przyczyn tego smutnego stanu! Gdyby nauka szkolna obejmowała to, co interesuje cały współczesny ogół kulturalny — i wszystkie tak zwane niebezpieczne i wstydliwe problemy rostrzygała we własnym domu —

wówczas „czarne róży“ nie byłyby niebezpieczne
 Tak jest! Nauka a raczej dzisiejszy program jej jest
 nieboszczykiem, jest już trupem. Wszystkie, choćby
 nieskończenie, mądre i nieskończenie dowcipne spo-
 soby galwanizowania tego trupa, zawodzą. Na ko-
 niec mała dygresya. Ten pan z rozbitą; a raczej jak
 słusznie powiedział pan profesor Żalski, z *rozpitą*
 głową, wywrócił się chyba na schodach nie skut-
 kiem szpagatu — tylko raczej skutkiem szpagatów-
 ki, która mu się w nogach poplątała. (Śmiechy
 i zadowolenie). Reasunuje się. My wszyscy, jakkol-
 wiek różnych dopatrujemy się przyczyn smutnych
 objawów w szkole, kochamy te szkołę i chcemy
 aby i społeczeństwo i wychowankowie równie ją
 kochali! Na co przydałyby się nam zdobycze wie-
 dzy, sztuki, przemysłu — gdyby ci, którym to
 wszystko zostawiamy byli głupi i marni. Społeczeń-
 stwo, którego najżywszą troską nie jest wychowa-
 nie młodzieży i gorliwa opieka nad wybitnymi jej jed-
 nostkami jest potworem, który zjadł swą przyszłość
 i układa się do snu wiecznego. Amen (Bej, Sarenka,
 Herkules i kilku młodych: brawo! brawo!. Pauza).

Sulicki. Proszę — teraz pan Sojka

Sojka, Panowie! — (po chwili). Ja chciałem coś po-
 wiedzieć — ale teraz to już nic nie powiem. (siada.

Bej, Sarenka, Mularczyk śmieją się).

Sulicki. Zatem pan Sarenka!

Sarenka. (wstaje). Niech żyje pan Mularczyk!! Niech
 żyje!! (siada).

Sulicki Ależ to nie jest komers!

Sarenka. Nic nie szkodzi! Trochę duszy, trochę życia!!
 Niech żyje!!

Sulicki. (kiwa głową). Pan Profesor Herkules...

Herkules. (mały nikły blondynek, skubiący ciągle wąsa wstaje, tak że ledwo go co widać ponad stół). Panowie, któż to widział?... Idziemy gdzieś naprzód jak ślepi — nie oglądamy się na to, co nam szanowna przeszłość zostawił! Panowie, któż to widział?... Tego chłopaka trzeba ukarać nie za surowo — ale też nie za lekko, nie za lekko.

Bej. Proszę o głos!

Herkules. Skończyłem.

Sulicki. Pan profesor Bej.

Bej Nawiązując do założenia i założyciela tego towarzystwa — chcę jeszcze zwrócić się do pana kolegi Sobotniewicza, (do Sobotniewicza). Kochany panie kolego! Pani Orzelska wychodząc ztąd, prosiła Cię, abyś pomniał, że masz dzieci. Ja zaś chcę Cię prosić, abyś pomniał, że największym czynem twoim w tym wypadku, czynem, który Orzelskim wstrząsnie do głębi i odda go tobie, będzie słowo twego wybaczenia i twojej miłości.. — (Pauza).

Sobotniewicz. (wstając). Panowie... Zechciejcie postąpić najłagodniej... najwzględniej... Panowie...

Mularczyk. (zrywa się z siedzenia, biegnie do Sobotniewicza, ściska go za rękę). Ależ my więcej nie żądamy! Wszyscyśmy się tego spodziewali. Nawet pan prof. Roztruchański zapowiedział że nie będzie za żadną „ekskluzyą“... (wszyscy oglądają się ku Roztruchańskiemu który spi, jak skała. Ruch krzesel — Bej, Sarenka śpiewa i otaczają Sobotniewicza, ściskając za rękę).

Sarenka. A teraz przyjdzie coś co jeszcze na konferencyi niebywało. Zaczekajcie tylko... (wylatuje przez główne drzwi).

Sulicki. (dzwoni zawzięcie). Proszę panów uprzejmie

o udanie się na miejsca — albo przynajmniej o zachowanie neutralne do chwili, kiedy usłyszę konkretne wnioski i kiedy przejdziemy do głosowania!

Czy pan gospodarz klasy zechce postawić wniosek?
Sobotniemicz Pan Dyrektor zrozumie, że jako współinteresowany najchętniej nie wezmę udziału ani we wnioskach ani w głosowaniu. Niemniej jednak proszę panów kolegów o najdalej idącą wyrozumiałość dla ucznia.

Żalski. A zatem, czy poczuwa się pan do winy?

Sobotniewicz (impetycznie). Szanowny panie kolego to jest pytanie, co najmniej za czupurne! Pan inożesz wnioskować, jak mu się podoba a motywacja moje pozostaną sobie przy mnie (Ogromny gwar i zamieszanie).

Sulicki. (ogromnie zalekniony, aby nie przyszło do większej jeszcze scysyi). Ależ panowie — panowie, powaga grona, powaga mniejsza, powaga chwili (dzwoni) Panowie! panowie. Tak! o tak! (Cisza) Zanim też porzejdziemy do wniosków, chciałbym dodać od siebie parę uwag. Panowie, czy potrzebował chłopak ten zakładać czarną różę? Przecież mamy w samym zakładzie stowarzyszeń i kółek sporą liczbę. Panowie, mają uczniowie przecież; muzykę dętą i rznąą — chóry — kółko czytelniane. w którym są trzy redakcyje i wychodzą trzy pisma... dalej kółko ekonomistów, kółko sławistów, kółko przyrodników, kółko tenisowe, kółko fotografistów, kółko estetyków, kółko pejzazystów, kółko mandolinistów, kółko monologistów, kółko liryków, kółko dramatyczne, kółko orientalistów, kółko numizmatyków, kółko filatelistów, kółko geologów itd... które to kółka pracują pod egi-

dą nauczycieli. Czy potrzebował zatem zakładać „czarną różę? — Nie! Chyba że nie!

Bej. (podczas wyliczania tych kółek uderzał miarowo ołówkiem w stół).

Mularczyk. Proszę o głos w kwestyi formalnej.

Sulicki. Proszę

Mularczyk. Jaki procent uczniów ma w zakładzie postęp ogólny niedostateczny?

Sulicki. 43 %.

Mularczyk. Czy mogę mówić?

Sulicki. Nnnuoooo... tooo... proszę.

Mularczyk. Panowie! Ten cały tasiemiec kółek, zajmujących się w samej szkole rzeczami stojącymi poza programem nauki szkolnej, dowodzi, że szkoła sama uważa swój program za nieżywy. Tu pod jej bokiem rośnie tyle tych kwiatków, że właściwie pytać się należy, kiedy ci muzycy rżnięci i dęci, geologowie, oryentaliści, sławiści, dramatycy, literaci itd., będą mieli czas uczyć się dla szkoły? kiedy oni wobec tylu poważnych i utrapionych zagadnień będą mieli czas być młodymi? he?... To raz. Powtóre wszystkie te kółka *pod egidą nauczycieli* będą w oczach uczniów tylko przedłużeniem, dalszą linią szkoły, oni chcą także być trochę *sami!* (Gwar). Uważajmy przeto, *my nauczyciele*, uczniów za ludzi; szanujmy tego małego człowieka, jako przyszłego obywatela — nie wodźmy go ciągle za kark, i niech się nam nigdy nie zdaje, że klasa to trzoda baranów, spędzonych na to, aby je strzydz i golić dowoli! Dixi!

Sulicki. Ależ panowie. panowie.. ja zamykam dyskusyę! — (Pauza). O! widzicie panowie! Jest cicho — i niema już żadnej dyskusyi. Proszę o wnioski.

24
Herkules Ekskluzya z naszego zakładu!

Żalski. Wykluczenie z wszystkich zakładów całego..

Mularczyk. (dodaje ironicznie)... całego świata!

Żalski (powtarza machinalnie).. całego świata! Nie naszego okręgu!

Mularczyk. Co najwięcej nagana przez Dyrektora wobec całej klasy.

Sulicki. Może jeszcze jakie wnioski?

Sojka 16 godzin karceru z zagrożeniem ekskluzyi.

(W tej chwili wchodzi). Sarenka z Orzelskim.

Żalski. A to co?! To jest rzecz wprost niesłychana!

Sulicki. Co to jest! Konferencya! Uczniom nie wolno, jak świat światem. (daje Sarence rozpaczliwe znaki aby Orzelskiego wyprowadził).

Sarenka. (z przyjęciem). Szanowni panowie! Szanowny Panie Dyrektorze! W chwili tej stanowczej, wielkiej i uroczystej, staje przed areopagiem grona uczeń ulubieniec klasy i prawie wszystkich tych nauczycieli, którzy go w klasie poznali Wzorowy syn, będący dla skolatanej matki, podporą życia i wszystką jego jasnością — spojrzcie, oto nad nim wypadnie nam wydać wyrok dzisiaj..

Orzelski. (stoi z lekko schyloną głową, patrząc jasno przed siebie).

Mularczyk i (inni. spotrzegają głowę Blasa wychylającą się przez pół otwarte drzwi). Wstają. Blas! Blas!

Sarenka, (biegnąc do drzwi). Chodźno Blas! Chodźno i ty tu. (wprowadza na pół martwego Blasa). Widzicie panowie — to znowu jest Blas — ledwo żywy — przecie jak cień wtoczył się w tej chwili za przyjaciółem, nie odstąpił go. (do Orzelskiego). Czy wiesz, mój drogi — że Blas uzurpował sobie założenie „czarnej róży“ — aby uchylić od ciebie

całą odpowiedzialność ?

Orzelski. (wzruszony). Bracie! bracie mój

Sarenka A czy wiesz, Orzelski, że pan profesor Sobotniewicz, prosi, aby cię nie karano?..

Orzelski. (idąc szybko do Sobotniewicza). Nigdy... przenigdy... nie zapomnę panu profesorowi dzisiejszej pięknej chwili!..

Sobotniewicz. (wyciągając doń rękę). No!! kochanku — nie myśl, że skorom czarny, to muszę być dyabłem. Daj rękę! Daj kochanku!

Roztruchański. (którego przypadkiem Miluś potrącił, budzi się i wstaje). Co? Już po konferencyi! No to chwała Bogu! Chodźmy do domu i po całej paradzie! (zmierza ku wyjściu).

KURTYNA.

K O N I E C



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-200 Warszawa

Tel. 26-68 63, 26-62-31 w. 42

F
1402